

WANDA GROCHOWSKA

CIERNISTYM SZLAKIEM

Opowiadanie

Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA UNJI

Wydanie II

WARSZAWA
WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
1934



CIERNISTYM
SZLAKIEM

1911

WANDA GROCHOWSKA

CIERNISTYM SZLAKIEM

Opowiadanie
z czasów prześladowania Unji

Wydanie drugie

WARSZAWA
WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
1 9 3 4



B-I-7315

I.

W skromnym saloniku państwa Bileckich liczniejsze zebrało się towarzystwo. Nie uważano na wicher i słońce, boć to dzień św. Jadwigi, imieniny pani domu, pocziwej i powszechnie kochanej, więc sąsiedzi nie tylko bliżsi, ale i z dalszych majątków, pośpieszyli gromadnie złożyć jej dowody swej pamięci. Ze starszymi przybyło kilkanaście osób młodszych, które zdawna już niecierpliwie przyjemności tej wyglądały. Ale dziś jakoś nie szła zabawa, choć dużo się po tym dniu spodziewano. Przed kilku bo tygodniami z ust do ust przebiegła wiadomość, że do rodziny państwa Bileckich i tak dość licznej, bo obejmującej dwie dorastające córki i troje młodszej dziatwy, przybyła jedna jeszcze osoba, bliska kuzynka, sierota, która tu już miała pozostać. Dużo opowiadano o niej, że wykształcona, miła i niezwykle piękna, nie dziw więc, że zaintrygowało to okoliczne panny i wielkie sprawiło wrażenie wśród grona szukających żony młodych ludzi. Dotąd tak się jakoś składało, że jej nie widzieli, w kościele bywała rano, zresztą nigdzie z domu się nie wychyliła, z tem większą więc uciechą skorzystano ze sposobności imienin, by ją poznać i do niej się zbliżyć.

I oto w pośród sześciu panien z sąsiedztwa Krystyna Bilecka rej wodzi; wytwornością obejścia, powa-

bem niezwyklej piękności przyciąga wszystkie oczy, rozmową dziwnie wdzięcznie i mile z ust koralowych płynącą, rozwesela i ujmuje. Zebrane w kącie pokoju panienci otoczyła młodzież w półkole i, stojąc, bierze udział w jakiejś ciekawej rozprawie. Co chwila gwar głośniejszy się zrywa, albo śmiech ogólny wybucha, znać jednak, że brak tu dzisiaj szczerzej i swobodnej wesołości, że coś serca zmroziło, więc do zabawy, do tańca nikt się nie zabiera. Najżywiej zajęci są skupieni we framudze okna czterej panowie; prowadzą oni przyciszoną, ważną widać rozmowę, omawiają wieść, którą im tylko co przyniósł jeden z nich, wysoki, po trzydziestce mający już mężczyzna, o szlachetnej postaci i jasnym, pocziwem spojrzeniu. Na niego w tej chwili zwrócona jest ogólna uwaga, kierują się wszystkie pytania, do niego biegną i od strony kanapy, gdzie najpoważniejsze panie zasiadły, strzały spojrzeń, wiele dające do myślenia. Nic dziwnego. Toć to młody wdowiec, właściciel wcale ładnego mająteczku, niedawno w tych stronach nabytego. Przeszłości jego nikt nie zna, nikt o nią nie pyta, bo pan Stefan Krasnodębski tak się dobrze przedstawia, że ogólną zyskał sympatię i każda mama najchętniej córkęby mu za żonę oddała, chociaż on matką staruszką i dwojgiem dzieci obarczony. Ale on nie zdradza chęci ożenienia, gospodaruje zawzięcie, trzyma się domu i tylko przy niezwyklej okolicznościach w towarzystwie z nim się spotkać można.

Dziś przybył tu później od innych, opowiada coś półgłosem, a chmura smutku i rozdrażnienia zasępia jego zwykle pogodne czoło. Dopiero gdy na wezwanie pani Bileckiej, a prośbę młodzieży, Krystyna usiadła do fortepianu i w pokoju rozległy się dźwięki tak do-

brze znanej, a zawsze milej pieśni: „Rosła kalina z liściem szerokim“ — Krasnodębski przesunął ręką po czole, jakby chmurę z niego chciał spędzić i wsłuchał się w słowa piosenki, a bardziej może jeszcze w dziwnie jakoś słodko i mile oddaną jej melodję. Krystyna miała głos piękny, jak srebrny dzwonek, pełen uczucia i siły, mogła nim naprawdę czarować, to też po jednej pieśni zmuszono ją do drugiej i trzeciej, a wszystko w pokoju zamilkło, znieruchomiało, zasłuchane i przejęte.

— Ach, jakież to dar wielki posiada panna Krystyna, szepnął do gospodarza domu, Krasnodębski.

— Tak, to po matce skarb odziedziczony.

— Czy matka, czy rodzice panienki żyją?

— Oh, nie; Krysia zupełną jest sierotą. Biedactwo, tułało się między obcymi, dopóki nauk nie skończyła; dłużej na to nie pozwoliłem, ja, jej stryj rodzony, i zabrałem do siebie. Wielkiego majątku nie posiadam, ale chleba wystarczy i dla niej.

— Czy jednak nie szkoda taką perłę ukrywać na wsi, gdy przy swych zaletach na szerszej widowni mogłaby zrobić karierę?

— Tak, mogłaby, ale kosztem cnoty i sumienia. Nie chcę, i ja tego i ona za tem nie wzdycha. Poczciwe gniazdo Bileckich niczem się nie splamiło, jej też lepiej będzie w mierności i zwykłej pracy, aniżeli w świetności i pysze wielkiego świata, gdzie wiara i moralność na szwank narażoną bywa.

— Przyklasnąć można temu postanowieniu, jeżeli tylko pannie Krystynie do szczęścia to wystarczy.

— Jak nie wystarczy, rozśmiał się Bilecki, to wydam ją zamąż, za jakiego hreczkosieja, ona tak lubi gospodarstwo. Tymczasem z tego co umie niech drugim

udziela. Uczy moje dziewczęta, Stasiowi też lekcje daje, bo już spory chłopak — i tak na kawałek chleba szczerze zarobi.

W tej chwili od fortepianu tęskne i rzewne płynęły dźwięki. Obaj panowie umilkli zasłuchani, Krystyna śpiewała:

Czemu w świecie tak radośnie,
A u nas ponuro?
Kwiat wesela innym rośnie,
Nam słońce za chmurą.

Czemu szczęście ni swoboda
Nam się nie uśmiecha?
W smutku żyje dusza młoda,
Nie zna co pociecha.

Czemu słyszym pomruk burzy,
Niebo gromem straszy?
I odmiany nic nie wróży
Na tej ziemi naszej.

Czemu w piersiach bólu tyle
I cierpień i trwogi?
A wytchnienie... gdzie?... w mogile?...
Zmień to, Boże drogi!

Pieśń zmiękła, nagle przerwana; jakieś ręce pie-szczotliwym uściskiem objęły szyję Krystyny.

— Daj pokój, dziecko drogie, strażnicy po wsi się włóczą i do wszystkiego przyczepiają. Musim być ostrożni, mówiła pani Bilecka, dotykając ustami czoła dziewczyny.

— Więc i tego nam nie wolno?

— Niestety! Ale ufajmy, że sprawiedliwości czas przyjdzie... głos cierpień naszych znajdzie wysłuchanie u Boga.

Łzy błysnęły w oczach Krystyny, ale je prędko wstrzymała, nie uszły one jednak uwagi Krasnodęb-

skiego. Wpatrzony w piękną pannę, wsłuchany w miły dźwięk jej głosu, chciwie chwycił każde słowo pieśni i choć, zda się, nie w niej nie było, zrozumiał myśl ukrytą i odczuł jak nikt inny.

W tej chwili pani Bilecka prosiła gości na kolację. Podsunął się szybko i podał rękę Krystynie. Przeszli do jadalnego pokoju, nie rzekłszy do siebie ani słówka. Dopiero przy stole pan Stefan zawiązał rozmowę, zaczynając od podziękowania za tak piękny śpiew, a zwłaszcza za ostatnią piosenkę.

— Tęsknią nasze serca do chwili swobody, do szerszego oddechu, mówił z cicha, nad jej krzesłem się pochylając, a tego jak niema, tak niema. Ucisk prześladowania sroży się bez przerwy i krwi męczeńskiej tyle już wytoczono na nieszczęsnej ziemi chełmskiej.

— Straszne to nad wyraz i bolesne, westchnęła Krystyna. Gdy o tem w Krakowie mówiono, myślałam nieraz, że chyba wieści przesadzone, a teraz widzę, że były tylko słabym odgłosem tego, co się tu słyszy i spotyka. Biedni unicy, ale i my katolicy, czyż nie jesteśmy uciśnieni? skrzepowani we wszystkich pragnieniach i poczynaniach? Oh, jak tu duszno, jak ciężko żyć, że mimowoli skarga się z ust wrywa.

— I może radaby pani wrócić do szczęśliwszego od Kongresówki Krakowa?

— Nie; zwłaszcza teraz, gdy często z niedolą drugich zetknąć się wypada, nie chcę być szczęśliwą, gdy inni cierpią i nie mam większego pragnienia nad to, by choć czasem komuś dołą osłodzić, słowem pociechy wzmocnić.

— Szlachetne, przezacne pragnienie, ale i tego nawet tu mieć niewolno. Tu nawet zwykły objaw litości dla cierpiących i męczonych za zbrodnię jest poczytany.

— Zawsze w czemś ulżyć, coś ułatwić można, gdy się ma dobrych współników.

— Czy pani takich współników poszukuje?

— Nie, bom ja tu nieznaną, miejscowych stosunków nieświadomą, ale jako współniczka chętniebym przystała do tych, co w jakikolwiek sposób starają się zlagodzić cierpienie, czy coś ułatwić bohaterskim męczennikom za wiarę.

— Trudno coś dla nich uczynić, bo szpiegostwo i kontrola najściślejsza wszelką działalność tamują, mimo to jednak czasem coś uda się zrobić.

— Gdy pan posłysz o możliwości przyjscia im z pomocą, niech mi pan powie.

— Dobrze; tylko zawsze i we wszystkim tajemnica, najgłębsza tajemnica.

— Potrafię ją zachować, niech pan będzie spokojny.

— Dziękuję za obietnicę. Na początek niech się pani postara bliżej poznać z miejscowym proboszczem, zacny to kapłan, pełen poświęcenia, a kapłańskiej pomocy najbardziej tu trzeba.

— Czyż się nie obawiają odpowiedzialności?

— Zobaczysz pani i sama się przekona.

Wstawano od stołu, przeszli więc do sąsiedniego pokoju i zajęli dwa odosobnione krzeselka. To ciekawe, to zazdrosne biegły ku nim spojrzenia, lecz tego nie widzieli, pochłonięci rozmową. Krasnodębski w żywych słowach malował obraz grozy i rozpacz, na jaki dziś właśnie natknął się w przejeździe przez wieś unicką. Na dom osieroconej przez wywiezienie do Rosji męża, dzielnego wyznawcy wiary, biednej wyrobnicy, napadło podczas jej nieobecności kilku strażników, by porwać dwoje znajdujących się bez chrtu prawosławnego dzie-

ci. Dwunastoletnia dziewczynka, na której opiece te dzieci zostały, starsze trzyletnie ukryła w kurniku, a młodsze chwyciwszy na ręce, w niebogłose ratunku wołała. I nastąpiła okropna scena wydzierania zanoszącego się od płaczu maleństwa z rąk dwunastoletniego dziecka. Straszny widok, rozdzierające serca krzyki rozpaczy, aż dziecię ze słabych rąk wydarte, owinięto w szynel i co tchu poniesiono jako zdobycz triumfalną do popa.

— Jakie to okropne! szepnęła Krystyna, usiłując powstrzymać łzy do oczu napływające; i nie można było ratować?

— Nie było sposobu, kilka kobiet nadbiegło, ale je brutalnie odepchnięto i poturbowano. Mnie, gdym nadjeżdżał, kulką pogrożono... oni są panami położenia. Ale nie koniec okrucieństwu. Dziewczynkę, co tak dzielnie broniła, rozciągnięto na ziemi i bito, ach, jak bito okrutnie, straszliwie! Skatowane dziecko pewnie żyć nie będzie, a gdyby żyło, pozostanie kaleką, bo ręce jej połamano. A trzebaż było widzieć matkę nieszczęśliwą, gdy ujrzała jedno swe dziecko we krwi, a drugie przez wrogów porwane. Pobiegła za tem drugim, by je od hańby prawosławia ocalić, pobiegła wołając, że ono już po katolicku ochrzczone. Niestety, było już za późno! Wnet zetknęła się ze strażnikiem, który jej dziecko przez popa ochrzczone odwoził!... Krew stygnie w żyłach, gdy na taką boleść się patrzy, uczucie czci przejmując, gdy się widzi takie bohaterskie do wiary przywiązanie. Toż i tej kobiecie zabrano na kontrybucję jedyną krowę — karmicielkę, owieczki i co tylko znaleziono w biednej izdebce, ona jednak dobrowolnie ochrzcić dzieci nie dała.

— O! tak, szepnęła Krystyna, miejmy nadzieję, że

następcy tych bohaterów staną się godnymi spadkobiercami ich chwały męczeńskiej, bo w przeciwnym razie...

— Biada im! jeśliby skarbu przez ojców przechowanego szanować nie umieli. Nie godni zwać się ich dziećmi i wnukami, zasłużyliby sobie na wzgardę u współbraci, na kary wielkie tu i w wieczności.

— Nie, oni nie mogą zapomnieć tego, co ich przodkowie za siebie i za nich przecierpieli, a gdy ta krew męczeńska wolność religijną i narodową u Pana niebios nam wyprosi, pamięć ich czcią i miłością otoczą, bo cóż chlubniejszego w życiu, jak czuć się dziećmi męczenników za wiarę.

Na twarz Krystyny wybiegły rumieńce, oczy jak gwiazdy zapaleń rozgorzały, Krasnodębski z niemym zachwytem w nią się wpatrywał.

Ujął jej rękę i rzekł wzruszony:

— Dzięki ci, pani, za chwilę serdecznego odczucia i to silne przekonanie, że ten straszny posiew katuszy i zniszczenia wyda plon obfity narodowi na wolność i chlubę, a wrogom na pohańbienie.

W tej chwili żegnać się zaczęto, czas było opuścić gościnne progi. W samą porę dla dwojga ludzi, co po raz pierwszy zetknąwszy się z sobą, jedność myśli i zapatrywań w siebie odkrywszy, rozstali się pod silnem, podniosłem wrażeniem, którego dalsza nie osłabiła rozmowa.

Krystyna w zadumie podeszła do okna. Od ganuku dolatywał gwar pomieszanych głosów, trzaskanie batów, turkot odjeżdżających bryczek... Po szybach trzepał deszcz drobny, wiatr smętnie w gałęziach szeleścił, a wkoło było ciemno, chmurno... Tak ciemno,

ponuro było na ziemi ojczystej, zmagającej się ze straszonym tyranem... ale po nocy następuje dzień... Oby on nadszedł jak najprędzej!...

II.

Północ już była gdy Krasnodębski dojeżdżał do swojej siedziby. Deszcz z wiatrem smagał niemilosiernie, koń brnął po błocie, ciemność i pustka zewsząd go ogarniała. Nie zwracał na to uwagi, było mu jakoś miło i ciepło. Puścił koniowi wodze, a sam w myślach pogrążony, odtwarzał w duszy obraz Krystyny i ważył każde jej słowo. Nie krył tego przed sobą, że silne na nim sprawiła wrażenie, nietyle powabem swych wdzięków, co widoczną z całego jej zachowania i każdego wyrażenia, pięknnością duszy. Nie znalazł u żadnej z pańien w okolicy tego właśnie, co najbardziej cenił, co w nim czci uczucie budziło. Rad był ze zbliżenia i marzył, obojętny na wszystko inne w tej chwili, aż rzenie konia obudziło go z zadumy. Wjechał w aleję do dworu prowadzącą. W domu już wszyscy spali, na górze tylko w jednym oknie słabe błyskało światelko.

— Tak późno, a matka jeszcze nie śpi i czuwa... zawsze się czegoś niepotrzebnie obawia, myślał z pewnem niezadowoleniem.

Oddał konia stróżowi, by go do stajni zaprowadził, a sam, zrzuciwszy burkę, podążył na górę.

— Że też mama jeszcze nie śpi! zawołał z wyrzutem, gdy do niego wyszła na powitanie. Jakżeż można tak o swem zdrowiu nie pamiętać.

— Janinka jakaś chora, ma silną gorączkę, muszę przy niej czuwać.

Ucałował jej ręce i do fotela poprowadził.

— Biedna mateczko, ileż to trudu i troski z moimi dziećmi przenosisz! Gdybyż ci można ulżyć choć trochę!

— Chętnie podejmuję wychowanie dzieci, bo je kocham, ale mimo to powitałabym z radością zastępczynię swoją w domu i gospodarstwie w osobie twojej żony, na którą dawno należało się zdecydować.

— Nie spotkałem do dnia dzisiejszego osoby, odpowiadającej moim pragnieniom i wymaganiom.

— A dziś?... Widzę, że wracasz w wesolem usposobieniu... Krystyna Bilecka jakże ci się podobała?

— Muszę przyznać, że niema przesady w tem, co o niej słyszeliśmy. Jest piękna, rozumna, ma szlachetne serce i dążenia. Z taką kobietą warto iść przez życie.

Matka popatrzyła z uśmiechem na jego twarz rozjaśnioną, na oczy zapalę błyszczące.

— Rada słyszę, że nareszcie znalazłeś kobietę według swego upodobania, mówiła pieszcząc przytuloną do swego ramienia ukochaną głowę jedynaka, ale posłuchaj mnie i bądź rozważny. Pierwsze wrażenie omylić może, a tobie nietylko żony, lecz i matki dzieciom potrzeba.

— Pamiętam o tem i właśnie dlatego Krystyna zdaje się odpowiadać naszym zapatrywaniom. Chciałbym, żebyś ją poznała, mateczko.

— Sam wpierw postaraj się lepiej ją poznać, mnie twoje zdanie wystarczy.

— Połóż się, mamó, czas na odpoczynek. Ja zajrzę do dzieci i gdyby tego była potrzeba, zastąpię cię przy nich do rana.

Rozstali się, nową myślą zajęci, do snu przecież obojgu się nie spieszyło. Matka nie ruszyła się z fotela, ale, wsparwszy głowę na rękę, dumiała nad czemś głęboko, a nagle jakaś troska posępna chmurą zaciemniła pogodne jej czoło.

— Co począć? wyrwały się z jej ust słowa, powiedzieć Stefanowi?... Nie, nie, toby go zupełnie od zamiaru ożenienia odwiodło, a tu ja nad grobem, dzieci maleńkie i on sam na świecie bez życzliwej koło siebie istoty — to mię zastrasza. Nic mu tymczasem nie powiem.. A jak dojdą? wyszperają? Ha, na to w ostatniej chwili sposób się jakiś znajdzie, znaleźć musi. Nim umrę, jedno jeszcze wyżebrać muszę u Boga: zacząć, pocziwłą żonę dla Stefana, troskliwą opiekunkę dla jego dzieci.

Podniosła się z fotela, ukłękła przy łóżku i do wiszącego na ścianie obrazu Matki Bożej ręce wyciągnęła.

— Matko strapionych, Ucieczko nieszczęśliwych, wesprzyj... dopomóż... ratuj nas!

Długo się modliła, przedstawiając Królowej niebios, tak potrzeby swoich najbliższych, jak i ucisk nieszczęsnego narodu. Z modlitwą, ze łzami spływał powoli gniotący jej duszę ciężar niedoli, o której codzień słyszała, i obaw, które tak często biednem jej sercem miotaly. Wreszcie z sił wyczerpana, ale spokojniejsza i pełna ufności w sprawiedliwość Bożą, do snu się utuliła.

Tymczasem Krasnodębski, siedząc przy łóżeczku swej starszej pięcioletniej córeczki, snuł w myśli piękne plany i poddawał się urokowi rozkosznego upojenia, jakie nim owładnęło. Zdawało mu się, że Krystynę zna już dawno, że staranie o jej rękę nie powinno się długo

przeciagnąć i — gdyby dobrze poszło — w karnawale mógłby już wprowadzić pod swój dach ukochaną przez się kobietę. Tak, nie krył tego przed sobą, że mu się bardzo podobała, a że ją widział szlachetną i dobrze myślącą, sądził, iż matce da w niej córkę o jakiej nieraz marzyła, a dzieciom pożądaną opiekunkę i matkę.

Janinka spała spokojnie, obok przez ścianę była na zawołanie służąca, oddalił się więc do swego pokoju na dole. Nie zdążył jeszcze światła zapalić, gdy w ogrodzie rozległo się hukanie sowy. Podeszedł do okna, otworzył je i czekał. Z gęstwiny drzew wynurzyła się jakaś postać i cicho, do ziemi przychyłona, podpełzła do okna.

— Kto tam? spytał szeptem Krasnodębski.

— To ja, Waszczuk, o poratowanie proszę.

— Mówcie, czego chcecie.

— We wsi naszej dwoje dzieci przybyło, u mnie i u sąsiada, trzeba je ochrzcić, póki się strażnicy nie dowiedzą. Stary Maciej śmierci się spodziewa, o spowiedź prosi, że dwoje chorych jeszczeby się znalazło.

— Za dużo naraz, no, ale zobaczymy, poproszę księdza proboszcza. Jutro o północy we młynie tylko pojedynczo, z największą ostrożnością... brzegiem lasu i krzakami nad rzeką.

— Niech wam Bóg miłosierny zapłaci, wielmożny dziedzicu.

Postać bez szelestu prawie od okna się odsunęła. Krasnodębski patrzył i nasłuchiwał. Uplynęła dłuższa chwila, cisza zupełna panowała. Upewniony, że wieśniak wydostał się szczęśliwie z ogrodu, przez nikogo niedostrzeżony, zamknął okno, z gorącym westchnieniem:

— O! Matko Boża, miej nas w swej opiece, abym, pomagając tym nieszczęśliwym, siebie i dzieci swych nie zgubił.

III.

Po nocy słotnej pogodniejszy ranek zaświtał. Krasnodębski, wyruszywszy w pole do robotników, skrzył w stronę lasu. Nie zagłębiając się w jego gestwinę, jechał brzegiem, kierując się w stronę widniejącej zdała wieży kościelnej. Koń stąpał wolno po nierównej ścieżce, a on zamyślony wodził wzrokiem po przeświecającym przez cienką ściankę lasu zlekką omglonem polu. Nagle głuchy tętent kopyt końskich zwrócił jego uwagę. Spojrzał — i aż się w tył cofnął wraz z koniem. Przez pole ku lasowi pędziła amazonka, zręcznie kierując karym konikiem. W granatowej sukience, białym ciepłym szalem niby obłokiem otoczona, jechała wprost na niego, jakby jakąś tajemniczą ręką wiedziona. Uśmiechnięta, różowa, zdało się, że z rozkoszą używa przejażdżki, z całą pełnią swobody ciesząc się tym większym krajobrazem, który ma w sobie tyle uroku, gdy go cisza owiewa, a słońce złoci.

Krasnodębski jakby przyrósł do miejsca, nie śmiał, zda się, oddychać, by nie spłoszyć cudownego zjawiska. Była to Krystyna, sama w pustym polu... co za spotkanie! Minęła go, nie spostrzegłszy za drzewami i, kierując się brzegiem lasu, jechała dalej. Krasnodębski popędził za nią. Odwróciła głowę, by spojrzeć kto nadjeżdża, i zwolniła bieg konia. Na grzeczny ukłon odpowiedziała uśmiechem, lecz jednocześnie lekka chmurka przemknęła po jej czole. Zauważył to Krasnodębski.

ski i gdy się ich konie zrównały, jął przeproszać, że się ośmielił przerwać jej miłą samotność, ale rad korzysta ze sposobności, by dotrzymać danego przyrzeczenia.

— Nie wiem o co panu chodzi? spytała poważnie.

— Chciała się pani wtajemniczyć w niedolę podlaskich męczenników... zaczął powoli.

— O! tak, radabym się zapoznać z przebiegiem ich walki i bohaterstwa — i nie dla prostej ciekawości tylko — nie. Chcę widzieć jak oni cierpią i zwyciężają, bo to się więcej ceni, co się lepiej poznało, i wierzy temu najmocniej, na co własnymi patrzyło się oczyma. Los szczęśliwy czy nieszczęśliwy przywiódł mię na tę ziemię męczeńską, chcę zatem wniknąć głębiej w ducha ludu, nad którym świat się zdumiewa, a wróg daremnie sroży.

Pochylił przed nią czoło z uszanowaniem.

— Jeśli tak, to dziś jeszcze mogę dać do tego sposobność.

— Bardzo dobrze. O jakiej porze i gdzie?

— O północy. Zobaczysz pani to, co tutaj tak często się zdarza: — potajemne udzielanie śś. Sakramentów. Łatwo zrozumieć, że wszelki w tem współudział grozi wielką odpowiedzialnością, nie lęka się więc pani, że nas mogą wyśledzić i zatrzymać?

Wyprostowała się dumnie i spojrzenie pełne wyrzutu rzuciła Krasnodębskiemu.

— To pan, ojciec rodziny, właściciel majątku, który mu za to mogą skonfiskować, nie obawia się dla świętej sprawy narażać, a ja wolna, samotna kobieta miałabym się lękać bolesnej prawdy spojrzeć w oczy?! Jakżeż źle ma pan o mnie pojęcie! Ale nie, tak źle nie jest. Ja kocham moją wiarę, kocham więc i tych, co za nią cierpią i giną. Chcę za jakąbądź cenę do nich się zbliżyć.

Podjechała do niego bliżej, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał i dodała prosząco:

— Jeżeli zasługuję na zaufanie, niech mi pan raczy wskazać miejsce tej nocnej schadzki.

— Ufam pani bezgranicznie, proszę więc posłuchać. Dziś koło północy tędy brzegiem lasu przemknąć się trzeba niepostrzeżenie aż tam nad rzekę, do tego opuszczonego starego młyna, o którym w całej okolicy krąży gadka, że tam straszy, że duchy napastują, że słychać po nocach jęki i dziwne hałasy.

— Aha! rozumiem, zaśmiała się Krystyna.

— Tak, trzeba było coś zrobić, żeby sobie jakieś miejsce zabezpieczyć, rozpuścić gadkę, a potem ją w oczach włóczących się strażników usprawiedliwić. Nadspodziewanie się udało... i teraz w nocy nikt z niewtajemniczonych koło młyna przejść czy przejechać się nie odważy. Pod opieką „duchów“ mamy zatem spokojne schronienie, a w ostatecznym razie bliskość lasu i nadbrzeżne szuwary przed niepożądanymi gośćmi ukryć nas potrafią.

— Doskonale. Dziękuję panu. Będę napewno.

— A co na to stryjostwo powiedzą?

— Myślę, że lepiej ich nie wtajemniczać, aby nie wzniecać niepokoju. Wymknę się z domu, gdy wszyscy spać pójdą, a wrócę nim się obudzą. Przejdę przez ogród i nikt mię nie spotka.

— Nie, tak nie można. Na to się nie zgodzę, musi mieć pani jakąś opiekę w tej nocnej, bądź co bądź niebezpiecznej wędrówce. Czy nie zechce pani ze mną udać się na probostwo? Tam nad wszystkim się naradzimy.

— Jak najchętniej. Mam jeszcze pozostawioną sobie wolną godzinę; nie mogę lepiej ją wykorzystać.



Ujechali kilkadziesiąt kroków, gdy koń Krystyny przystanął, parsknął i nastroszył się, jakby złął czegoś niespodziewanie. Z pod krzaku dźwignęła się kobieta wychudła, zbiedzona i wzrok na nich błagalny podniosła.

— Prakseda, zawołał zdziwiony Krasnodębski. Co wy tu robicie tak daleko od domu?

— O! tak, panoczku, daleko, ale we wsi nie mogłam dosiedzieć. Strażnicy nie dali spokoju; nie dość, że mi wydarli ostatnią poduszkę z pod głowy, ostatnią żywnię z gospodarki, jako karę za upór, jeszcze ciągle grozili, że porwą mi dziecko jedyne, aby je zhańbić, ochrzcić po prawosławnemu. Nie dałam, nie doczekanie ich, nie wezmą już mojej jagódki, już nie...

Dzika jakaś rozpacz a zarazem rezygnacja biła z ócz tej kobiety i z każdego jej słowa, aż dreszcz wstrząsnął ciałem Krystyny.

— I cóżeście zrobili, uciekliście ze wsi?

— O, tak, uciekłam do lasu, skryłam się z moją dzieciną — i nie znaleźli.

Z wyrazem triumfu głowę podniosła.

— Ciężko było, ale zniosłam wszystko, bo wiara droższa nad życie. Znalazłam sobie schronienie przed wiatrem i słońcem, miałam kożuch, zimna nie czułam, ludzie dobrzy chleba, a czasem i strawy przynieśli...

— I wilka nie obawialiście się, czy innego zwierza?

— Eh, zwierzęta lepsze od Moskali, nie przyszły, nie przestraszyły nas ani razu. I tak minęło trzy tygodnie. Teraz już wrócę do domu, nie mam się czego bać.

— Gdzież wasze dziecko?

Oczy kobiety dziwnie zaświeciły, a usta uśmiech bolesny wykrzywił.

— Moje dziecko? Zostawiłam je w lesie, tam pod sosną, pod mchem zielonym, tam go nikt nie znajdzie, nikt!

— Kobieto, co mówicie? w głowie wam się mąci, mówił Krasnodębski, jakżeż można dziecko samo zostawiać w lesie!

Prakseda wybuchła płaczem.

— Moje dziecko śmierć zabrała, śmierć zimna, ale litościwa, co nie odda strażnikom na zatracenie. Moje dziecko ochrzczone po katolicku, po katolicku je przeżegnałam i złożyłam do ziemi. Ono już u Pana Boga szczęśliwe, wiem o tem, ale ja, ja biedna sama sierota na świecie.

Chwyliła się oburącz za głowę, głuchy jęk z piersi jej uleciał.

Po twarzy Krystyny płynęły łzy.

Podjechała bliżej i, obejmując głowę nieszczęśliwej, przytuliła ją do siebie.

— Nie płacz, biedna męczennico, Bóg widzi twoją boleść i twoją ofiarę, nie płacz, za przywiązanie do wiary nagroda cię nie minie.

Pocałowała ją gorąco, serdecznie, bo na więcej słów zdobyć się jej było trudno. Coś ją dławiło, coś za gardło ścisnęło, że mówić nie mogła, ale zarazem jakaś duma i radość piersi jej rozpieły. Nie może zginać naród najwięcej gnębiony, kiedy ma w sobie takich mężnych wiary wyznawców; nie poradzi nam wróg, choćby nie wiem jak się wysilał, jeżeli przy Kościele katolickim jak ci nieszczęśliwcy wytrwamy.

— Nie płacz, Praksedo, mówił Krasnodębski, Bóg się nad wami zmiłuje, wypuszczą męża z więzienia i żyć będziecie tak szczęśliwie jak wtedy, gdyście ode mnie zamąż wychodzili. Przyjdźcie do nas do dworu,

matka moja przyjmie was jak najlepiej i co się da, dopomoże. O! czemuż was do siebie wziąć nie mogę!

— Jakto! nie może pan wziąć sługi jaką zechce? spytała Krystyna.

— Niestety, unitom u katolików służyć nie wolno, bo... mieliby ułatwione praktyki religijne, opiekę pewną i oparcie. Do tego nasi ciemńcy nie chcą dopuścić. Biedni, biedni, ludzie, Bóg jeden pomóc, pocieszyć was może.

Kobieta pokornie objęła nogi swego dawnego pana. Krystyna rozumiejąc, jak bardzo trzeba jej było ciepłego słowa i dowodu serca życzliwego, przemówiła raz jeszcze do niej, wciskając zarazem do ręki te kilka złotych, jakie w tej chwili posiadała.

Rozstali się. Konie ruszyły, kobieta patrzyła za niemi.

— Wiem, wiem, szepnęła do siebie, pewnie to będzie jego żona... śliczna i dobra, jak anioł; niech im Bóg błogosławi.

Młodzi jechali obok siebie w milczeniu, smutnemi zajęci myślami.

— Widzi pani, jak to u nas niewesoło, odezwał się wreszcie Krasnodębski.

— Ach, tak, przyznam jednak, żem rada z tego spotkania, bo umacnia na duchu i każe szanować tę brać siermiężną, co przywiązaniem do wiary podziw budzi. Chylę głowę przed tą ubogą kobietą, to prawdziwa bohaterka.

— A takich bohaterek tysiące. Czy pani sądzi, że ta przez kilka tygodni kryjąca się w lesie kobieta to jakiś jedyny wyjątek? O! nie. Było takich wypadków niemało. Nieszczęsne matki, widzą, że największym skarbem ich dzieci jest wiara katolicka, wszelkiemi moż-

liwemi sposobami broniąc je więc przed sprawostawieniem, gotowe były na najcięższe nawet ofiary. Pozwoli pani, to o jednym choć takim wypadku opowiem.

— O, bardzo proszę!

— Wielkiem prześladowaniem, po bohatersku znoszonym, zapisała się w historii męczeńskiego Podlasia mała parafja unicka, o jakąś milę od Białej leżąca, parafja Hrud. W straszliwy sposób znęcano się tam nad ludźmi, co o przyjęciu prawosławia słyszeć nie chcieli, popa przez rząd przysłanego do cerkwi nie wpuścili. Mordowano ich za to, okrutnie bito, kontrybucjami, karnemi postojami wojsk, furmankami do ostatniej nędzy przywiedziono. Kilka już lat Hrud nieszczęśliwy opierał się wrogom, gdy nowa na niego spadła klęska. W kwietniu przymaszerowały tu z Białej trzy rotyska, aby zmusić unitów do ochrzczenia dzieci. Kobiety, jak tylko spostrzegły nadciągających żołnierzy, domyśliły się w jakim celu oni przybywają. Zabrały więc swoje dzieci i coprędzej pobiegły ukryć się z niemi w sąsiednim lesie. Pamiętamy dobrze, jaki słotny, mroźny i wietrzny był kwiecień i następny maj w roku 1876; dokuczył nam wszystkim, a cóż dopiero powiedzieć o tych biednych kobietach, co w pośpiechu nie zdążyły zabrać z sobą dostatecznie ciepłej odzieży do otulenia siebie i dzieci, a o chlebie i pokarmie ani pomyślały. A tu żołnierze wieś otoczyli i pilnie strzegli, aby się nikt z domu z kawałkiem chleba lub ciepłą odzieżą do lasu nie przedostał. Chciano tym sposobem zmusić głodne i opuszczone matki do wyjścia z lasu, niby z fortecy, i zdania się na łaskę lub niełaskę zwycięzców. W takim strasznym położeniu, w takich męczarniach ciała i ducha heroiczne te kobiety wytrwały na swem koczowisku leśnem przez sześć tygodni, dłuż-

szych dla nich, niż sześć wieków. Kobiet tych było 16, a wspomnienie ich powinno być czczone w narodzie, jako świątobliwych polskich niewiast, co w obronie niekazitelności wiary i świętości swych niemowląt na taką się zdobyły ofiarę.

Krasnodębski zamilkł i spojrzał na Krystynę. Poważne jakieś skupienie widać było w jej twarzy, z pochyloną głową jechała wolno i, choć przestał mówić, milczała. Nie przerywał tego milczenia, rozumiał je i uszanował, aż wreszcie Krystyna podniosła na niego swe zażawione pytające oczy.

— I jakże się ta smutna walka skończyła?

— Przez te sześć tygodni wojsko, ogłodziwszy wieś ze szczętem, powróciło do Białej, nie dopiawszy swego celu, a matki z dziećmi wyszły ze swych kryjówek leśnych. Powróciły w triumfie do domów, lecz podobniejsze do szkieletów niż do ludzi, tak były wyschłe i ogorzałe. Bóg tylko sam dał im ten niezłomny hart ducha i krzepił je zdrowiem codziennie.

— Bądźcobądź, czemu one żyły przez czas tak długi?

— Lud poczciwy z okolicznych wiosek, przekradając się nocną porą do lasu, przynosił im czasami chleb i żywność.

— Słyszac to, zda mi się doprawdy, że żyjemy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Ta sama gotowość na męczeństwo, podobne również tamtym dowody chrześcijańskiej miłości względem cierpiących współwyznawców, pomimo grożącej za to odpowiedzialności.

— Tak; to też obok bólu, jakim nas niedola tego ludu przejmuje, czujemy i radość z ich zwycięstwa nad wrogiem, który, mimo swej potęgi, nie może dopiąć zamierzonego celu.

— I, da Bóg, nigdy nie dopnie: ci, co dziś cierpią, wytrwają do końca, a młodsze pokolenia chyba odstępstwem od wiary pamięci swych ojców nie splamią.

— Ufajmy, że tak będzie, a sprawiedliwość Boża kres temu okrucieństwu położy. Ale oto dojeżdżamy do probostwa. Tam pani jeszcze więcej się dowie.

IV.

Północ nadchodziła, gdy Krystyna, wymknąwszy się z domu drzwiami od ogrodu, biegła pustą ścieżką, prowadzącą do furtki na pole. Noc była ciemna, wiatr chłodny ziębił twarz i ręce, uczucie trwogi jakiejś tajemniczej ścisłało serce. Po raz pierwszy w życiu znalazła się sama wśród nocy, wśród jej ciemności nieprzeniknionych, groźnych. Szła do ludzi nieznanym, znajdujących się w ciągłym niebezpieczeństwie... czyż to nie szaleństwo? nie lekkomyślne narażanie siebie i swoich najbliższych? A co ją wiedzie, co skłania do tego? czy sama ciekawość?... Nie; wiedziała, że nie; wyższa pobudka krokami jej kierowała, współczucie kazało się zbliżyć do tych ofiar prześladowania, aby móc nieść im pomoc w potrzebie. To jej dodawało odwagi, krzepiło na duchu.

Dobiegła do furtki, a gdy ją otwierała, z pod krzaku leszczyny wysunęła się postać kobieca.

— W imię Boże, szepnęła Krystyna.

— Bóg prowadzi, odpowiedziała kobieta, bo takie było hasło umówione.

Nie mówiąc nic więcej, cicho, lekko, jak dwa cienie, pośpieszyły wąską, błotnistą drogą. Przewodniczka szła przodem, zachęcając Krystynę do pośpiechu.

— Koło wsi trzeba ostrożnie, bo strażnicy się kręcą, w polu nam będzie bezpieczniej, mówiła szeptem, bacznie się rozglądając.

Nie spotkawszy nikogo, dotarły do lasu i brzegiem dalej się posuwały. Krystyna w myśli odtwarzała sobie obraz pierwszych chrześcijan po nocy, ukradkiem dążących do katakumb na nabożeństwo. Doznawała podobnego wrażenia, jakiego oni musieli doznawać, gdy przed okiem wrogów starali się ukryć swe ślady. Za co ich czekało męczeństwo? Za wyznawanie wiary jedynie prawdziwej i świętej. A dziś czy nie to samo? Co winni im ci ludzie, że im nie dadzą czcić Boga w religji, w której się urodzili i którą całym sercem kochają?...

Takimi zajęta myślami, ze czcią i współczuciem spojrzała na gromadkę ludzi, skupioną w najskrytszym zakątku młyna. Dwie kobiety z niemowlętami na ręku i troje chorych wynędzniałych i drżących od zimna — to było na razie całe zgromadzenie. Wkrótce przybył i proboszcz w towarzystwie Krasnodębskiego i dwóch jeszcze krzepkich chłopów, którzy wysunęli jakiś stolik i nakryli go białym obrusem. Zapalono dwie cienkie gromnice, na środku stanął mały krucyfiks i zrobił się ołtarz, przed którym wszyscy uklękli w pokorze, gdy kapłan Ciało Pańskie na nim złożył. Krystyna o słupkę jakiś oparta pozostała nieruchoma, podczas gdy ksiądz przygotowywał chorych do przyjęcia świętych tajemnic, jedną z Bogiem i na skruszone ich dusze wylewał strumień łaski sakramentalnej. Modliła się za nich, modlić chciała gorąco, ale jakoś nie mogła. Oczywiście wodziła po tej starej ruderze, co w tej chwili w kaplicę się zamieniła, po mrokiem osnutych dalszych zakątkach, gdzie zdało się jej, że jakieś widma się snuły.

Kolejno wzrok przeniosła na twarze otaczających ją ludzi i zdumiała się. Twarze te były spokojne, pogodne, radością wewnętrzną jaśniejące. Jakaś moc i dostojność biła z tych twarzy, z tych postaci, w nędzne siermięgi przybranych.

— To bohaterzy, szepnęła do siebie i z czią przed niemi pochyliła czoło. Oni się nie boją, a ja drżę o nich i nasłuchuję. Oni ryzykują życie, gotowi są na męczeństwo, a ja mam się wstawiać za niemi do Boga, ja, która raczej do nich się modlić powinna, bo mnie ich cnota zdumiewa.

Cichy, metaliczny odgłos dzwonka oderwał ją od tych myśli. Kapłan karmił nędzarzy tej ziemi Chlebem Aniołów, Pokarmem do żywota wiecznego. Zakryła twarz rękami, bo z oczu jej łzy trysnęły i uczucie, jakiego nigdy nie doznała, i modlitwa, na jaką dotąd nigdy się nie zdobyła w takiej sile i w takim nastroju, tak nią ovladnęły, że ani wiedziała, jak święty skończył się obrzęd i do innego przygotowywano się Sakramentu.

— Proszę, niech pani wstanie, zabrzmiał tuż koło niej głos Krasnodębskiego, i silne jego ramię z ziemi ją dźwignęło.

— Ci ludzie zanoszą prośbę, abyś ich dzieciom matką chrzestną być chciała, mówił dalej, prowadząc ją do stołu.

Zrobiło się jej jakoś dziwnie, słowa wyrzec nie mogła. Nie wiedziała czy ma się cieszyć z propozycji, czy od niej wymówić. Ale nie, nie może odmówić im tego, z radością czynny udział w tej uroczystości weźmie.

— Dobrze, i owszem, odrzekła, wyciągając ręce do podawanego jej niemowlęcia.

Krasnodębski stanął przy niej. Kapłan ochrzcił jedno dziecko, potem drugie, ponieważ był to chłopczyk, złożone na ręce Krasnodębskiego. Zostali rodzicami chrzestnymi... skończył się obrzęd, matki z radością przytuliły do siebie łaską Chrztu św. ubogacone swe dzieci. Krystyna rozwiązała przyniesiony z sobą tłomoczek i obdzieliła obie matki na prędcy dla nich zebraną bielizną. Wsunęła każdej w rękę srebrnego rubla na błogosławieństwo i wymknęła się wraz z innymi z młyna. Na chwiejących się schodkach Krasnodębski podał jej rękę. Drżała ze wzruszenia czy chłodu i zwróciła jego uwagę na dziwny jakiś szelest.

— Niech się pani nie obawia, to wiatr w szuwarach szeleści. Gdyby groziło niebezpieczeństwo, byliśmy ostrzeżeni, bo tu dokoła stoją nasze straże, czujne i baczne na każde niezwykle poruszenie.

— Ach, tak!

— Inaczej być nie może. Musimy być ostrożni i do pewnego czasu udaje się nam zmylić czujność wrogów. Czy to tak długo będzie uchodzić, Bóg jeden wie i Bóg jeden od niebezpieczeństwa ochronić tylko może.

— Księżę proboszczu, zwrócił się do księdza, odwieziemy pannę Krystynę, będzie to poniekąd pewna obrona, gdybyśmy kogoś niepożądanego w drodze spotkali.

— I owszem; nie może nawet być inaczej, Horpina niech idzie do domu, a my sobie we trójkę pojedziemy. Masz pan pewne obowiązki dla panny Krystyny, dodał z żartobliwym uśmiechem, skoro jej kumem zostałeś! Musisz baczyć, aby z dzisiejszej wyprawy bez szwanku wróciła.

— Pod opieką księdza proboszcza niczego się nie boję, a wspomnienie nocy dzisiejszej na zawsze w mem sercu pozostanie, odrzekła Krystyna.

Jechali zwolna przez rozmiękle pole, gdy wtem zadudniły za nimi końskie kopyta.

— Baczność! szepnął proboszcz do Krasnodębskiego.

Jeździec zrównał się z bryczką i pilnie jął się przyglądać.

— Kto jedzie? spytał, niepewny, czy poznał należycie.

— Sąsiedzi z niedaleka, odpowiedział Krasnodębski, nadrabiając miną, nie rad bardzo z tego spotkania. Skądże to jedziecie, panie Konstanty?

— Ja? Ot, zagraliśmy się w karty i takem się opóźnił. U mnie to rzecz zwyczajna, ale pan co tu robi o tej porze?

— Odwożę miłych gości, to się samo przez się rozumie.

— No, no, szczęśliwy człowiek!... panna Bilecka i do tego sama... to daje dużo do myślenia.

— Zdaje się, że jestem dostatecznym opiekunem panny Bileckiej, odrzekł na to proboszcz. Można mnie chyba było powierzyć panienkę, a i pan Stefan znany przecież jako człowiek poważny.

— Poważny, jak poważny, ale widać niezwykle szczęśliwy, kiedy nas wszystkich uprzedził i względy panny Krystyny tak prędko pozyskał.

— To jeszcze nie przesądzone, każdemu ubiegać się wolno, zawyrokował ks. proboszcz.

Drogi się rozchodziły, nastąpiło więc pożegnanie i pan Konstanty pogalopował w swoją stronę, snując najfantastyczniejsze co do tego spotkania domysły.

Krasnodębski zwrócił się do proboszcza.

— Fatalnie się stało, żeśmy się na tego paniczyka natknęli. To człowiek niepewny, a w każdym razie nieopatrny, może się nieostrożnie wygadać i na trop naprowadzić. W tem miejscu już się zbierać nie możemy.

— Tak pan sądzisz? Nie mogę mu nie przyznać słuszości, tembardziej jeśliby zazdrość nurtować w nim zaczęła... a do tego bardzo podobne.

Krystyna z boleścią ręce zacisnęła.

— Więc przeze mnie mogliby cierpieć szlachetni obrońcy tych nieszczęśliwców, przeze mnie pan mógłby być narażony na przykrości i straty, to okropne!

— Niech pani będzie spokojna, nic się bez dopuszczenia Bożego nie stanie.

Za chwilę Krystyna biegła aleją ogrodową do domu, a bryczka Krasnodębskiego cicho turkotała w oddali.

V.

Mroźny zimowy ranek otulał ziemię w leciuchne puchy śniegu, który kładł się cicho na puste, senną martwością ściśnięte pola. Kładł się, na podwórza i dachy chat wieśniaczych, w których dziś przedświąteczny ruch panował. To wigilja Bożego Narodzenia, dzień największej radości, najmilszych rodzinnych pamiątek. Wszędzie przygotowania, rwetes, bieganina, w powietrzu czuć zapach pieczonego ciasta, w stodołach wykończają zwykle roboty. Na twarzach wszystkich wyraz pogody i zadowolenia, nastrój skupienia i powagi.

W takim nastroju małą bryczuszką, w jednego konia zaprzęzoną, jechał Krasnodębski do przeświecającego

przez nagie drzewa dworku Bileckich. Myśl jakaś żywo go zajmowała, pochłaniając całą uwagę, postanowienie jakieś ważne, rzucone na szalę losów jego życia. Patrzył na dworek, uśmiechał się nadzieją, to znów coś jakby obawa czy niepewność ciężkie westchnienie z piersi jego dobywała. Na bryczce piękna, zielona stała choinka, dar dla młodszej dziatwy Bileckich, którzy lasu iglastego prawie nie mieli. Obiecał, więc śpieszy ją dostarczyć, życzenia świąt złożyć i... w tej uroczystej chwili wyrazić osobiste pragnienia, które mu spokoju nie dają. Kochał Krystynę, widział, że mu jest życzliwą, stryjostwo oboje wielką mu przyjaźń okazowali, a więc po co dalej zwłóczyć i nie poprosić o rękę tej, z którą tak chciałby przyszłe życie swoje podzielić.

Ledwie się przed gankiem zatrzymał, wypadła do niego cała gromadka dziatwy, nie wyłączając starszych panienek — i radosnymi przyjęła go okrzykami.

— Jaki pan dobry, że przyjechał do nas, mówiła najmłodsza Basieńka, myśmy tak pana czekali.

— Nie tyle mnie, co choinki, prawda? rozśmiał się wesoło Krasnodębski.

Krasnodębski zapytał o Krystynę.

— Zajęta pieczeniem ciasta, odpowiedziano chórem.

— A będzie się można zobaczyć?

— O! tak, przecież może oderwać się na chwilę, żeby gościa milego przywitać, odpowiedziała najstarsza Antosia.

Spojrzał na nią z wdzięcznym uśmiechem. Nie od dziś on tu już jakby swój za bliskiego uważany, starsi okazują mu życzliwość, młodsza dziatwa garnie się do niego. Poparcia może być pewny.

Zdjął choinkę, potem z bryczki wyciągnął duże drewniane pudelko.

— A to do ozdoby, do przybrania drzewka, rzekł, składając pudelko w ręce panny Toli.

— Ach, to już doprawdy zawiele, zaczęła zarumieniona panienka, ale Staś nie dał jej dokończyć, wołając rezolutnie:

— Wiwat, niech żyje pan Krasnodębski, nasz kochany pan...

— Niech żyje! za prezent dziękujemy, wołały obie młodsze dziewczynki. Podniosły się na niego rozpromienione oczy, wyciągnęły ręce, on śmiał się i weselił razem z nimi.

— Coście tu takiej wrzawy narobili? odezwał się niespodziewanie głos gospodarza domu.

— Pan Krasnodębski przywiózł choinkę, o! jaką śliczną choinkę, wołały młodsze dzieci.

— I jeszcze coś, jeszcze to pudelko.

— Pan Krasnodębski was psuje, a wy go za to na dworze zatrzymujecie, zamiast prosić do mieszkania. I sami ot bez ciepłego okrycia marzną na dworze. Marsz mi zaraz wszyscy do domu, ja teraz gościem się zajmę.

Pochwycono choinkę i, niosąc ją z triumfem, hałaśliwa gromadka znikła we drzwiach wchodowych.

Bilecki zwrócił się do Krasnodębskiego:

— Dziękuję ci, sąsiedzie, za uciechę dziatwie sprawioną, tylko te dodatki do choinki to zbytek niepotrzebny.

— Wybacz pan, ale tak kocham pańską dziatwę, że mi to sprawia prawdziwą przyjemność. One to rozumieją, więc przyjmują, jak dajmy na to, od jakiegoś wujaszka, czy starszego brata.

— Prawda to, żeśmy wszyscy z panem się żyli, iż go za bliskiego sobie uważamy. I dziś jakżebyśmy radzi widzieli was, panie Stefanie, u swego wigilijnego stołu.

Wymówił te słowa ze szczególnym naciskiem i serdecznym wyrazem. Krasnodębski gorąco uściśnął rękę do siebie wyciągniętą.

— Zaszczyt to dla mnie i radość wielka taki dowód przyjaźni i zaufania, ale, niestety, w tym dniu uroczystym matki zostawić nie mogę, zmuszony więc jestem podziękować. Natomiast niech mi wolno będzie zjawić się tu w święta. Pobyt w tym domu, to najbardziej upragniona dla mnie przyjemność, najmiłsza duszy i sercu zabawa.

— Prosimy więc, choćby na każdy dzień, prosimy. Niech nas pan jako swych krewnych uważa.

Postanowił korzystać z chwili i, przystępując bliżej, odrzekł z wielkiem wzruszeniem:

— Sąsiedzie szanowny, nie mogę dłużej taić, że pragnę do waszej przyłączyć się rodziny i stać się jej członkiem na życie całe. Jako opiekunowi, zastępującemu ojca pannie Krystynie, wyznaję, że ją kocham, że ją upatrzyłem sobie na towarzyszkę życia i matkę swoich dzieci, że tego zresztą i matka moja szczerze pragnie. Pana więc proszę o jej rękę, proszę o poparcie mej sprawy, gdybym na trudności natrafił.

Bilecki chwycił go w objęcia.

— Nie uwierzysz, panie Stefanie, jaką radością przejmuję mnie twe oświadczenie. Komuż spokojniej mógłbym powierzyć tę, którą jak córkę miłuję, jeśli nie tobie, człowiekowi zacnemu, poważnemu, który daje zupełną rękojmię jej szczęścia i losu pomyślnego. O ile to więc ode mnie i mej żony zależy, najchętniej się zga-

dzamy, nie możemy jednak Krysi krępować, zresztą i sambyś na to się nie zgodził, aby z dobrej i szczerzej woli nie miała oddać ci swej ręki.

— Z pewnością tak. Szukam serca i nie zniósłbym tego, gdyby w wolnym swym wyborze ono nie miało swobody.

— A więc rozmów się z Krysią, kiedy chcesz, czy dziś, czy w święta. My wam z radością pobłogosławimy. Ale ja dzieci strofowałem, a sam cię trzymam na dworze; chodźmyż do mieszkania.

Krasnodębski, przyjmując zaproszenie, ponowił prośbę, by dziś mógł się z panną Krystyną porozumieć. To też Bilecki tak urządził, że gdy ona w chwilę potem wyszła do gościa, zostawił ich samych, pod jakimś pozorem wymknąwszy się z pokoju. Krystyna w skromnej popielatej sukience, w śnieżnobiałym dużym fartuchu i takiejże chusteczce na głowie, bardziej niż zwykle uroczą mu się wydała. Mówiła o ucieście dziatwie choinką sprawionej, o niecierpliwości, z jaką dnia tego oczekiwano.

— O! gdybyś pani wiedziała, z jaką ja niecierpliwością, z jaką nadzieją tu dążyłem, westchnął gorąco Krasnodębski.

— Kocha pan widać ten dzień uroczysty, lubi komuś sprawić przyjemność.

— Albo sam czegoś czeka dla siebie, czegoś co szczęściem swoim nazywa.

Podniosła na niego wzrok poważny.

— Gdzie ma być to szczęście, nie wiem, ale życzę jak najszczerzej, aby ono nie zawiodło pana, aby się stało jego udziałem.

Krasnodębski przystąpił bliżej i, ujmując jej rękę, rzekł z zapalem:

— Szczęście moje jest w rękach pani, ty, panno Krystyno, możesz mi je dać jedynie... Oto dziś przybyłem cię prosić, zostań dozgonną towarzyszką mego życia i dzieci moich matką.

Krystyna cofnęła się niespodziewanem wyznaniem zaskoczona. Na twarzy jej odbiło się zdziwienie i zakłopotanie. Milczała chwilę, jakby jej ciężko było zdobyć się na odpowiedź. Krasnodębski z bijącym sercem czekał, jak w obraz w nią wpatrzony.

Podniosła wreszcie na niego wzrok spokojny, ale jakiś smutny.

— Jakże mi przykro, jak bardzo przykro, że nie mogę się przychylić do pańskiego życzenia. Uważałam pana za przyjaciela i nie kryłam się, że go poważam i szanuję, ale do małżeństwa tego jeszcze za mało, tam musi przemówić serce. A moje serce jeszcze spokojne, jeszcze czem innym, niż wyborem dozgonnego towarzysza zajęte. Owszem panu powiem szczerze, czego dotąd stryjostwu nie powiedziałam, że mi się praca samodzielna i życie dla szerszego niż rodzina ogółu uśmiecha.

Krasnodębski stał blady, jakby piorunem rażony. Wyciągnęła do niego ręce ze współczuciem.

— Wybacz, przyjacielu, że przykreść ci wyrządziłam, ale czyż mogę zadawać kłam swoim uczuciom i swoim na życie zapatrywaniom? Czy mogę podejmować się obowiązków, do których nic mię nie pociąga, bo myślę o czem innym? Chciej mnie pan zrozumieć i jeśli jesteś moim przyjacielem, nie żądaj ode mnie ofiary.

— Ach, tak, jeśli to ma być przykrą ofiarą, żądać nie mogę... nie chcę.

Zmieniony i drżący, odsunął się od niej.

— Jakież mię straszny zawód spotyka! Prysły złote sny o szczęściu, życie dla mnie urok straciło. Ale czy to ostatnie pani słowo? Czy nie zostawia mi pani żadnej nadziei, że może kiedyś szcasiem zmieni się jej przekonanie, pozna, że lepiej iść przez życie z kimś bliskim, oddanym sobie, kochającym, u kogo można mieć pewną obronę, z kim radość swą czy smutek podzielić?... Milczy pani, a więc już wszystko skończone, gmach marzeń moich rozpadł się w ruiny, a biedne moje sieroty nigdy już matki mieć nie będą.

— Panie Stefanie, nie bierz pan tego tak tragicznie. To, co dziś się panu zbyt ciężkiem wydaje, do większego może w przyszłości szczęścia drogę toruje. Godzien pan jesteś serca kobiety szlachetnej i taką spotkasz z pewnością, bo jeszcze w świecie znajdują się istoty, co cię potrafią ocenić i zadowolnić.

— Szukać ich nawet nie będę. Po za panią nikogo mieć nie chcę. Pozostaje mi tylko praca i cierpienie, to widać jedynie dla mnie przeznaczone. Niech się dzieje wola Boża.

Krystyna blada ze spuszczoneymi oczyma, milczała chwilę, wreszcie rękę do niego wyciągnęła.

— Proszę pana na wszystko, co mu najdroższe, racz mnie zrozumieć, nie chciałam mu zrobić przykrości, ani zerwać łączącej nas przyjaźni. Nie oddam ręki mej nikomu, o tem się pan z czasem przekona, a że jej panu oddać nie mogę, cóżem temu winna. Ufam mimo wszystko, ufam, że pan mi życzliwym zostanie i że się spotykać będziemy.

— Przyjaźni mej dla pani nigdy nie odwołam, ale spotkanie się nasze za niemożliwe uważam. Po co rozjątrzać ranę, której zagoić niepodobna? Żegnaj panią.

Sklonił się szybko i wybiegł z pokoju. Krystyna oprzytomniawszy, rzuciła się ku drzwiom, chciała zatrzymać go, zawołać, ale doleciał ją głuchy turkot odjeżdżającej bryczki... było za późno! Upadła na krzesło, rękami oczy zasłaniając. Ból ścisnął jej gardło, z oczu łzy rześiste popłynęły. Przykro jej było, że temu człowiekowi zacnemu przyczyną cierpienia się stała, ale czyż nie miała prawa pójść za własnem przekonaniem, ucieszyć się swobodą, wolnością paniąską, pobując jak ptaszę niczem nieskrępowane? Ona w życie dopiero wchodziła, nie dziw więc, że nie pilno jej było brać na się ciężkie brzemię obowiązków, do których nie czuła powołania.

Drzwi z trzaskiem się otwały i stanął w nich pan Bilecki.

— Krystyno, co się stało? Czemu Krasnodębski odjechał tak prędko, z nikim się nie pożegnawszy? Czy może być, abyś mu odmówiła?

Krystyna podniosła się z krzesła, łzy już oschły, była smutna, ale spokojna.

— Stryju, rzekła poważnie, przyjąć propozycji pana Krasnodębskiego nie mogłam, bo do zamężcia nie mam przekonania.

— Niemądra dziewczyno, odrzuciłaś bez namysłu najlepszą w okolicy partję! Cóż z tego, że ma dzieci, ale ma majątek. Byłabyś panią niezależną, nie znającą co to niedostatek, co o chleb troska, a przytem to taki człowiek poczciwy.

— Nic mu nie ujmuję, nic zarzucić nie mogę, ale zamężcia nie chcę, nie!

— Rozum straciłaś doprawdy, toż to jedyna droga do szczęścia, a jeszcze dla takiej, jak ty, sieroty.

— Sierotą jestem, to prawda, ale czuję się zdolną

do zapracowania na siebie, i nietylko na siebie, ale i drugim mogę być pożyteczną. Nie chcę tu dłużej zawadzać, nie chcę wchodzić w oczy Krasnodębskiemu, więc pozwól mi, stryju, miejsca sobie poszukać, np. objąć jaką szkołę na wsi, wszak mam do tego prawo i odpowiednie świadectwa.

Rzucił się Bilecki niecierpliwie i chciał coś powiedzieć, ale żona mu przeszkodziła, bo nagle się zjawiwszy, porwała Krystynę w objęcia, wołając:

— Nie puścimy cię na tułaczkę po świecie, musisz pozostać z nami.

Krystyna, płacząc, do niej się przytuliła. Bilecki czuł się rozbrojonym.

— No, źle się stało, ale trudno, domu ci za to nie wymówimy. Nie dziw się, że tak mnie ta odmowa obeszła, bom ci stryj rodzony, co cię jak córkę kocha i szczęścia twego pragnie. Nie chciałaś, trudno, bodajbyś tego nie pożałowała w przyszłości. Nie moja w tem wina. Niema co, przepadło, wracajcie do swoich zajęć, bo wieczór się zbliża. Dzień wigilijny taki krótki.

— I taki smutny dla nas w tym roku, westchnęła pani Bilecka.

VI.

Smutniejszy on jeszcze był dla Krasnodębskiego. Opuściwszy pośpiesznie dom tak mu miły, do swego własnego nie śpieszył. Pojechał w przeciwną stronę, przez pole do lasu, musiał ochłonąć z wrażenia, uspokoić się cokolwiek, nim przed matką stanie. Jej oczy odkryłyby natychmiast co się w duszy syna dzieje, a on wolałby dziś zataić to przed nią, by nie psuć świątecznego nastroju. Nie udało mu się jednak. Pomimo dłu-

szej jazdy, pomimo zmagania się z sobą, by sflumić ból i rozpacz, które nim miotaly, wrócił do domu taki zmieniony, że matka, ujrawszy go, aż krzyknęła.

— Co tobie? zaczęła wypytywać, czyś chory, czy cię jakie nieszczęście spotkało? Nie ukrywaj przed matką, powiedz, odkryj mi ranę twego serca bo nieświadomość od wszystkiego gorsza.

— Uspokój się, mamó, nic mi nie jest, zziębłem, zmęczyłem się trochę... próbował zmylić jej czujność. Ale daremnie, serce matki przeczuć, odgadnąć potrafi, oszukać się nie da.

— Chodź, siądź przy mnie, pomówmy otwarcie, wszak dwoje nas tylko najbliższych sobie na świecie.

Pociągnęła go na kanapkę i koło siebie usadziwszy, głowę jego do swojej piersi przytuliła i tak serdecznie, tkliwie przemawiać zaczęła, że nie wytrzymał, ale cały swój ból, całą gorycz zawodu, całą uczuć potęgę przed nią wypowiedział i jak dziecko uzałił na swą niedolę. To mu przyniosło ulgę, pewne uspokojenie, a matka nad własnym sercem panując, pociechę i szczęście w przyszłości wróżyła. Lubił słuchać jej dowodzeń, wierzyć w jej przepowiednie, poddawać się jej pieczytom, odszedł też od niej jeżeli nie pocieszony, to znacznie spokojniejszy, zrezygnowany, gotów do nowej walki i cierpienia.

Nie przeczuwał jak to cierpienie było blisko.

Po wieczerzy wigilijnej, którą tylko szczebiot rozradowanej choinką dziatwy rozweselał, Krasnodębski dorocznym zwyczajem wszedł do izby czeladnej, by ze służbą podzielić się opłatkiem. Stół biało nakryty piętrzył się stosami chleba i placka, a duże misy, rzędem obok komina stojące, nęciły wygłodzonych całodziennym postem biesiadników. Tych była liczba pokaźna, a mię-

dzy nimi kilka osób skromnie bliżej proga się trzymających, które tu z wiosek pobliskich zostały zaproszone. To unicy najbiedniejsi, najbardziej przez ciemężycieli ograbieni, którym kawałka chleba brakło. Dla tych na ławie pod ścianą w powiązanych tłomoczkach zapomoga z powodu święta była przygotowana. Coraz taka zapomoga szła z tego dworu w różne strony, tem więcej w dzień święta dorocznego Krasnodębski czuł się do tego obowiązany, by tym biedakom za wiarę męczonym udzielić pomocy, ulżyć w niedoli.

To też kiedy próg izby przekroczył i ze stosem opłatków na talerzu, stanął w pośrodku, radosny gwar go powitał, a gdy „Niech będzie pochwalony“ powiedział, wszyscy z czcią pochylili głowy, z żywym przejęciem odpowiadając: „na wieki wieków. Amen“. Była to dla nich chwila uroczysta, w której jak nigdy poza nią nie czuli się bliższymi dziedzica, czuli, że różnicę stanu zacierała jedność wiary, która wszystkim równa, jednoczy, wszystkim jednako Boga chwalić każe i jednakiej od Niego nagrody oczekiwać.

— No, moi drodzy, przemówił Krasnodębski, przychodzę z wami chleb bratniej zgody i miłości rozłamać. Przychodzę, by wam życzyć wszelkiego dobra tak doczesnego jak i wiecznego, według najmiłociwszych i najmędrszych zamiarów Bożych. Życzę, niech wam Bóg błogosławi w życiu i w pracy, udziela zdrowia, siły i umiłowania waszego skromnego stanu, bo ten tylko szczęśliwym czuć się może, kto na swój stan i trud swój nie narzeka, ale go z poddaniem woli Bożej przyjmuje.

— A wam, zwrócił się do przybyłych wieśniaków, życzę wytrwałości i męstwa w walce, którą obecnie prowadzicie. Święta to walka o skarb najdroższy na świecie, o wiarę ojców i dziadów waszych. Wróg się sroży,

ale Bóg was wspierać będzie i da wam doczekać zwycięstwa. Ufajcie i bądźcie pewni, że nadejdzie chwila wybawienia. W to święto nasze katolickie rozłamcie z nami opłatek na znak jedności z Kościołem rzymskim i Ojcem świętym, którego dziećmi jesteśmy.

— I my, panoczku — i my na zawsze przy rzymskim Kościele pozostaniem; niech się co chce dzieje, od wiary naszej nie odstępimy.

— Niech was Bóg wspiera i dopomaga.

— Amen, zawtórzyli wszyscy obecni.

Nastąpił moment rzewny dzielenia się opłatkiem, pały z obu stron krótkie słowa życzeń, do nóg pana pochylały się głowy jego domowników, a jeszcze bardziej zaproszonej braci wieśniaczej. W niejednym oku łza się zaperliła, z niejednej piersi podniosło się westchnienie i niejednym sercem szarpnął ból tajemny. A jednak gorzały twarze, uśmiechały się usta. To była chwila radosna, a po niej będzie co Bóg da.

Krasnodębski obchodził wszystkich, do niego wszyscy się cisnęli; rozdzielał podarki, dawał pieniądze, słyszał słowa radości, podzięki i dumą szlachetną serce mu biło. Bo szczęśliwy kto się czuje panem we własnym domu, na własnym kawałku ziemi, a szczęśliwszy jeszcze kto może i chce drugim do szczęścia dopomagać. On to pragnął uczynić, a gdyby tylko było w jego mocy, chciałby pocieszyć i wesprzeć i przygarnać do siebie, zwłaszcza tych wszystkich męczonych i prześladowanych. Chciał drugim łzy ocierać, bo sam był smutny i nieszczęśliwy.

Na dworze śnieżna szumiała zawieja, w izbie było ciepło, gwarno, miło. Bawiono się swobodnie, nie przypuszczając, żeby ich kto śledził i podglądał. A tu za oknem snuły się dwie ciemne postacie, dwie pary bly-

szczących oczu do szyb okiennych przylgnęło, bacznie obserwując ruch każdy, chciwie każde słowo chwytając. Gdy jednak po kolacji z izby wychodzić zaczęto, nie było już nikogo, nic obecności niepożądanych gości nie wskazało. Cisza głucha i martwota panowały dokoła, a jak okiem zajrzeć, wszędzie było biało! biało!

Z izby czeladnej Krasnodębski udał się prosto do pokoju matki, która, czując się trochę niezdrową, wcześniej do łóżka się położyła. Wszedł cicho, sądząc, że śpi, ale nie spała.

— Jak to dobrze, żeś przyszedł, rzekła z czułością, jeśliś nie bardzo zmęczony, siądź tu przy mnie.

— I owszem; spać się już nie położę, za parę godzin trzeba się wybierać na Pasterkę.

— Taka brzydka pora, możebyś tej myśli zaniechał, a jutro rano wysłuchał nabożeństwa.

— Nie, mam, nie mogę. Ludzi zachęcałem do pójścia na Pasterkę, a sam miałbym się od tego obowiązku uchylić? To niepodobna, przykład mi z siebie dać trzeba. Będą tam i unicy, którym po nocy łatwiej wemknąć się do kościoła.

— Zanadto ty się dla unitów poświęcasz, zanadto się nimi opiekujesz; oby to na nas jakiego nieszczęścia nie spowodowało.

— Trudno, moja mam, to co robię jest obowiązkiem każdego prawego Polaka, a jak przyjdzie cierpieć, to przyjmę i to z rezygnacją, dziękując Bogu, że mi dał się urodzić katolikiem.

— Tak, westchnęła matka, jak twego ojca, tak i moja rodzina od katolickich przodków pochodzi, ale jest coś, co mnie obawą napelnia, a o czym ty nie wiesz jeszcze..

— Cóż to takiego?

— Synu mój, twoja matka wskutek zaszłych okoliczności chrzczona była w cerkwi unickiej i tam jej akt chrztu został zapisany... Nie podejrzewają tego wrogowie, ale gdy się będziesz narażał, gotowi wyszukać, wysledzić i...

— I cóż, choćby wyszperali? ani mi to zaszkodzi, ani zwróci z drogi obranej, owszem, będzie raczej zachętą do pracy i poświęcenia dla tych, co tak niewinnie cierpią prześladowanie, jak ty, mamó, nie jesteś winną, żeś w unickiej cerkwi ochrzczona..

— Więc cię nie trwoży to odkrycie?

— Bynajmniej. Żenić się nie myślę, więc i metryk wyjmować nie potrzebuję, a wszędzie jako katolik zapisany, o przynależność unicką nie mogę być posądzony.

— Bodajby tak było, bodajby się moje obawy nie sprawdziły, ale dziwny dręczy mię dziś niepokój, coś jakby przecucie nieszczęścia nad nami wiszącego.

— Porzuć, mamó, smutne przewidywania; są one wynikiem wrażenia, jakie na tobie wywarła wiadomość o bolesnym ciosie, który mię dziś dotknął. To było najgorsze, co mogło mi dokuczyć, pozatem niczego się nie obawiam. Bądź spokojna, mateńko — i ten smutek przejdzie, pogodzę się z losem i żyć będę tylko dla ciebie i dzieci.

W milczeniu przygarnęła go do siebie i okryła pocałunkami. Jak powiew chłodzącego wiatru miłą mu była ta pieszczota, bo pomimo udawanego przed matką spokoju, cierpiał strasznie, a trwoga tajemna i jemu serce ścisłała.

Pożegnał matkę i chciał odejść, gdy jakiś szmer i tupanie na ganku słyszeć się dało.

— Cóż to, jacyś spóźnieni goście? odezwał się zdziwiony. Muszę wyjść do nich. Dobranoc.

— Boże, Boże, zmiłuj się nad nami! szepnęła drżącymi ustami pani Krasnodebska.

Do uszu jej doleciał odgłos ciężkich kroków w sieni, otwieranie drzwi dalszych, coś jakby brzęk pałasy, a potem cisza zupełna. Sięgnęła po dzwonek na stole, ale na jego dźwięk nikt się nie zjawił. Czekwała więc pewna, że syn pośpieszy objaśnić ją o tem, co zaszło. Jakoż po chwili rozległy się w przyległym pokoju przyśpieszone kroki jakby paru osób, lecz we drzwiach stanął sam tylko Krasnodebski. Był blady, usta mu drżały, wzrokiem smutnym objął pokój, a potem matkę, która do niego ręce wyciągnęła, wołając:

— Chodź, powiedz mi, kto do nas przyjechał.

— Później się dowiesz, mateczko, tymczasem pożegnaj cię muszę, da Bóg, nie na długo.

— Jakto! wyjeżdżasz? W tę noc świętą wyjeżdżasz nie do kościoła! co się stało?

Okrzyk bólu i rozpaczki wydobył się z piersi nieszczęśliwej matki. We drzwiach pokoju spostrzegła stojącego żandarma i — zrozumiała wszystko!...

— Synu, dziecko moje, nie porzucaj mnie!

— Uspokój się, mamó, powrócę, nie mają mi nic do zarzucenia...

Chwyciła go w ramiona, usiłując zatrzymać, ale on łagodnie z objąć się jej wysunął, a słysząc ode drzwi niecierpliwie słowa, naglące do pośpiechu, obsypał pocałunkami twarz jej i ręce.

— Bądź zdrowa, mamó, uściśnij odemnie dzieci. Niech was Bóg ma w swej opiece.

Wybiegł z pokoju, by płaczu matki nie słyszeć, a ta ręce i oczy podniosła do nieba, wzywając stamtąd ratunku i pociechy. Na dole znowu kroki zadudniły, zaturkotała bryczka... biedna matka jęknęła i bezprzytomna upadła na poduszki.

VII.

Cicha, święta noc Bożego Narodzenia była na schyłku, kiedy z parafjalnego kościoła wypłynęła fala ludzi i, podzielona na mniejsze i większe gromadki, rozproszyła się po wszystkich drogach i ścieżkach. Głuchą pustkę zimowego krajobrazu ożywił wnet wesół rozgwar i śmiechy i tony kolęd radosnych. Cieszyli się ludzie, śpiesząc do swych zagród, by tam zanieść błogosławieństwo Dzieciątka Bożego, zanieść tego ducha wiary i nadziei, jakim ich serca ta wielka uroczystość napępiała i krzepiła. Między wracającymi z nabożeństwa znajdowali się i Bileccy z całą swą rodziną. Szli pieszo, bo kościół mieli tuż za wioską, szli wmieszani w ten tłum gwarny i rozradowany, ale z nim tego wesela nie dzielili. Tak oboje Bileccy, jak Krystyna, a nawet starsza dziatwa, byli jacyś skupieni, milczący i niewiadomo czy pod wrażeniem wczorajszego zajścia, czy z jakiego innego powodu, jacyś niespokojni i trwożni. W kościele modlili się żarliwie, gorąco, a teraz żal dziwny ścisłał im serca, a w pamięci stawały obrazy cierpień piętrzących się dokoła. Jeszcze przytem i Krasnodębskiego w kościele nie dostrzegli, co ich niemile uderzyło. Żadnego on święta nie opuścił, by nie być na Mszy św., a dziś, w taką uroczystość niema go, to już się chyba coś stało. A Bileccy tak widzieć go chcie-

li, powitać i słowem serdecznem pocieszyć. Chciała go i Krystyna spotkać, bo jej serce tkliwe znieść nie mogło tej myśli, że komuś przykrość wyrządziło, a może i życie zламаło, a tym kimś był człowiek zacny, poczciwy, kochający.

Bilecki zwolnił kroku, puszczając przodem kobiety.

— Idźcie, przygotujcie śniadanie, ja zaraz nadejdę, rzekł i zawrócił w stronę kościoła. Minął jedną, drugą gromadkę, wtem przystąpił do niego chłop siwiejący już, niemłody w wielkim baranym kozuchu.

— A, jak się macie, Szymonie, zawołał z ukontentowaniem Bilecki, dobrze, że was spotykam. Co się stało z waszym panem, żeśmy go dziś w kościele nie widzieli?

— Och, panie dziedzicu, nieszczęście wielkie na nas wszystkich spadło.

— Co takiego! na litość, mówże, mów, choroba czy strata jaka?

Chłop frasobliwie wziął się za głowę, potem trwożnym wzrokiem rzucił dokoła.

— Nieszczęście, panoczku, wielkie nieszczęście, przyszli w nocy żandarmi i naszego pana zabrali.

— Co ty mówisz?... zabrali?! i gdzie powieźli?... nie wiecie?

— Ponoć aż do Siedlec, do głównego naczalstwa. Oj, dolo nasza nieszczęśliwa, co my teraz pocniemy biedne sieroty!

Bilecki stał jak skamieniały. W głowie mu szumiało, ból szarpał serce. Nowy cios dotykał go jako Polaka i jako przyjaciela. Odczucie niewoli i ciągłego niebezpieczeństwa do wściekłości go pobudzały, a czuł się bezsilnym, zgnębnym, nie mogącym nic poradzić ni sobie, ni nikomu.

— A cóż na to pani starsza? zapytał po chwili.

— Co? Jak padła bez zmysłów, tośmy ją ledwie do życia przywrócili, a teraz płacze i ręce lamie, że serce się kraje na taką boleść okrutną.

Bilecki smutnie pokiwał głową.

— Przyjadę do was niedługo. Powiedz to pani. Chłop się pokłonił z widocznym rozradowaniem.

— O, niechże pan przyjedzie, poradzi, bo wszyscy jak błędni chodzimy.

Rozstali się. Bilecki podążył na plebanję.

Godzina dobra upłynęła nim stamtąd do domu powrócił. Czekano go niecierpliwie i z pewnym niepokojem, nie pojmując gdzieby się zatrzymał tak długo. Pani Bilecka, świadoma smutnego nastroju męża, nie zrobiła mu żadnej wymówki, zwołała tylko wszystkich do śniadania. Gdy jednak, podając filiżankę z kawą, baczniej się w twarz jego wpatrzyła, krzyknęła zalekniona:

— Stanisławie, co się stało? Takiś zmieniony, czy miałeś jaką przygodę? czy cię jakie nieszczęście spotkało?

— Mnie... nie, ale naszego przyjaciela, sąsiada...

— Kogo? kogo? zapytano chórem.

— Krasnodębskiego!... Został aresztowany i wywieziony dziś w nocy.

Okrzyk zgrozy wydobył się ze wszystkich piersi. Bilecki spojrział na Krystynę. Stała marmurowo blada, z oczyma spuszczone mi na obrus na stole, usta jej drżały wzruszeniem, które daremnie pokryć usiłowała.

— Dziwna dziewczyna, pomyślał. Ręki mu odmówiła, a jego nieszczęście tak ją dotknęło.

Pani Bilecka biadała nad smutnem wydarzeniem, przewidując jak najgorsze jego dla całej rodziny na-

stępstwa. Wszyscy, młodszej dziatwy nie wyłączając, głęboko je odczuli. W ogólnem przygnębieniu zasiedli do stołu, ale nikt nie miał chęci do jadała, ogólnie o radości wielkiego święta zapomniano.

— Ha, lotry, widząc to, mówił Bilecki, taki dzień uroczysty do swych nikczemnych zamiarów wybrali!

— Co się tam w tej biednej rodzinie dzieć musi, westchnęła pani Jadwiga.

— Zaraz jadę do nich, aby coś pomóc i pocieszyć.

— I jabym chętnie pojechała, mówiła Bilecka, ale jako zupełnie obca dla pani Krasnodębskiej, sądzę, że nie byłabym pożądanym gościem.

— Zapewne, pierwszą wizytę na później lepiej odłożyć. Pojadę sam i może na coś się przydam.

— Stryju, ozwała się w tej chwili Krystyna, zabierz mnie z sobą, ja muszę tam jechać koniecznie.

— Ty?! zawołał z najwyższem zdziwieniem Bilecki.

— Tak, stryjaszku kochany, nie odmówisz mi tego, nieprawdaż?

Popatrzył na nią podejrzliwie, nie pojmując coby to mogło znaczyć. Twarz jej blada przed chwilą, teraz żywym rumieńcem płonęła, oczy nabrały dziwnego blasku, bił z nich wyraz silnego postanowienia i zapału.

— Czego ty odemnie żądasz, dziewczyno? Zniweczywszy pragnienia tej rodziny, chcesz jeszcze patrzeć na ich cierpienie!

— Chcę je osłodzić i wziąć w niem udział stanowczy.

— Nie mogę popierać szalonych zamysłów, nie wiedząc zwłaszcza do czego one prowadzą.

— Bądź spokojny, stryjaszku, zamiary moje nie zaszkodzą, ani ujmy nikomu nie przyniosą. Chcę na-

grodzić krzywdę wyrządzoną tej rodzinie, bo nie mogę przenieść na siebie, aby ten, co cierpi za wiarę, za poświęcenie dla współbraci, cierpiał jeszcze i z mego powodu. Wczoraj nie mogłam mu dać więcej nad zapewnienie przyjaźni, dziś chylę przed nim głowę jak przed męczennikiem. Dlatego nie odmówisz mi, stryju.

— A toż to utrapienie z temi dziewczętami, niechże kto zgadnie co zrobią za chwilę. Jak ta chorągiewka na dachu, byle wiatr dmuchnął, już się odwróciła w inną stronę.

— Tu nie podmuch wiatru, stryjaszku, tu padł piorun, nie dziw zatem, że niejedno zdruzgotał.

— No, jedź już, jedź, zobaczymy jak cię tam przyjmą.

W godzinę potem mknęli we dwoje małemi saneczkami po świeżym, lśniącym śniegu, jechali pogrążeni w milczącej zadumie, myśląc o nowej roli, jaka ich czekała. Gdy stanęli przed gankiem, Bilecki, oddawszy konia chłopakowi, polecił starej słudze, co wyszła na spotkanie, aby swej pani o jego przybyciu oznajmiła. Otrzymaawszy zaproszenie, poszli za starą Małgorzatą do jej pokoju.

Widok, jaki im się na wstępie przedstawił, go-dzien był pendzla artysty, go-dzien i serdecznej lży współczucia. W głębokim fotelu, czarno ubrana, siedziała poważna matrona, z wyrazem takiego bólu w całej postaci, jaki tylko matka najbardziej nieszczęśliwa odczuć jest zdolna. Przez jedną noc pobieleły jej włosy, twarz zmizerniała, oczy zapadły. W rękach kurczowo zaciśniętych trzymała różaniec, a u jej nóg na dywaniku dwie małe dziewczyneczki bawiły się otrzymanemi na gwiazdkę podarkami. Bawiły się, coraz przecież smutne oczęta zwracając na babunię, ze zdzi-

wieniem i z lękiem, dlaczego ta babunia taka dziś smutna i milcząca.

Bilecki podszedł do siedzącej, Krystyna w pobliżu drzwi przystanąła, by na się nie zwracać uwagi. Dopiero gdy pierwsze słowa powitania i współczucia przyjęte zostały, podeszła bliżej.

— Moja bratanica, Krystyna, przedstawił Bilecki.

Pani Krasnodębska drgnęła, niespokojnie poruszyła się w fotelu, w oczach jej łzy się zaszklily. Krystyna u kolan jej przyklękła.

— Pani, rzekła głosem uroczystym, ja jestem tą, na którą padł wybór jej syna, aby mu była żoną i jego dzieci matką. Wczoraj nie mogłam zadowolnić tego życzenia, nie czułam się powołaną do spokoju rodzinnego ogniska, ale do niesienia pomocy nieszczęśliwym prześladowanym, do złagodzenia choć w jednym wypadku wynikłego stąd bólu i troski. Nie mogłam oddać ręki człowiekowi, dla którego czułam tylko przyjaźń i szacunek. Dziś zmieniło się wszystko. Tego człowieka dotknęło nieszczęście, które w mem sercu głębsze zbudziło uczucie, nad tym domem zawisło prześladowanie, tu więc dla mnie miejsce być może. Jeśli podobna, przyjmij mię, pani, za córkę, za współniczkę swych udręczeń i niepokoju, za opiekunkę tych dzieci. Niech o tem pan Stefan usłyszy, niech wie, że, gdy wróci do domu, zastanie tu jedno jeszcze serce nietylko życliwe, ale kochające, które losy jego pomyślne czy smutne podzielić gotowe. Ta pewnośc może będzie dlań pociechą, uspokojeniem, doda mu sił do przetrwania próby, przez którą w oczach naszych wyrósł na męczennika. Boli go osierocenie matki i dzieci, niechże się dowie, że znalazł się ktoś, co chce im służyć, pomagać, roztoczyć troskliwą opiekę...

Pani Krasnodębska słuchała tej mowy bez poruszenia, zda się, bez oddechu, wpatrzona w Krystynę, jak w jakieś senne zjawisko. Piękną bo też była ona w swej ciemnej sukience, z lekkim rumieńcem na twarzy, z iskrami zapału w oczach. Głos jej melodyjny brzmiał mile, słodko, uwydatniając wypowiedane słowa, w które słuchającej wierzyć się nie chciało i pod których wrażeniem mienił się wyraz jej twarzy, przechodząc od zdziwienia i niechęci aż do radosnej rzewności.

— Czy to być może, czy mnie słuch nie myli, że pragnienie syna mego, a więc i moje mogłoby być spełnione? — szepnęła wzruszona.

— Chciej, pani, wierzyć w szczerość słów moich i odtąd jak córkę traktować.

— Znam cię z opowiadania i wierzę... bądź mi córką, ale biedne dziecko, ani wiesz, na co się narażasz, łącząc swe losy z rodziną, na której mściwa ręka wrogów spoczęła.

— Właśnie dlatego tu się wpraszam, abym pocieszyć i ulżyć w czemś mogła. Ufam, że Bóg dobry da nam dni szczęścia doczekać.

— Oby tak było, bądź mi dobrą wróżką, bo serce matki z trwogi obumiera.

Serdecznie przygarnęła ją do siebie, przytuliła, rzewnemi łzami oblewając.

— No, to dopiero niespodzianka, podniósł głos milczący dotąd Bilecki. Doprawdy, anim wiedział co zamierza uczynić. Taka to teraz młodzież!... przed najbliższym opiekunem sekret utrzymuje zamiast się poradzić, poprosić o pozwolenie.

— Stryju, przecież mi tego za złe nie weźmiesz, bo to zgodne z twojem życzeniem.

— Niechże już tak będzie, tylko przestańcie płakać, moje panie, boć to w takiej chwili nie wypada.

— Sąsiedzie szanowny, trudno mi łyzy powstrzymać, gdy myślę o moim biednym Stefanie, czy go nie minie szczęście, tak wspaniałomyślnie przez pannę Krysytynę zaofiarowane.

— Ech, tak źle nie będzie. Przyjdzie jeszcze znieść może niejedno, ale wkońcu uwolnić go muszą, o tem jestem przekonany.

— Nie wiem, nie wiem, mam jakieś smutne przeczucie, ale może Bóg nas pocieszy. Gdyby go tylko w jaki sposób można zawiadomić.

— Mam zamiar wybrać się do Siedlec, może mi się uda go zobaczyć. Chciałem właśnie z panią parę spraw omówić, cóż kiedy ta, narzucająca się na synowę, dotąd przyjąć mi do słowa nie dała.

— Teraz już nie będę przeszkadzać; pójdę zapoznać się z dziećmi.

Pani Krasnodębska zadzwoniła.

— Podajcie herbatę, rzekła do służącej. Przejdźmy do jadalnego pokoju, tam sobie pogadamy.

VIII.

W ponurej celi więziennej przez małe u góry okienko Krasnodębski spoglądał w niebo, goniąc oczyma smutnemj przesuwające się obłoki. Miesiąc już tu siedział i nie miał nadziei rychłego uwolnienia. Owszem do postawionych mu zarzutów w ostatnich dniach przybył nowy... wynaleziono metrykę matki i jako od unity zażądano, by od Kościoła katolickiego odstąpił i w ten sposób nagrodził popełnione winy. Na taką propo-

zycję krew w nim zawrzała, nie rachował się ze słowami i może coś nieopatrznie powiedział, nie mając dość siły, by ukryć swe oburzenie. Spotkał się za to ze straszną pogroźką wywiezienia z kraju!... i oto teraz w bezsilnej rozpaczycy miota się nieszczęśliwy, tęsknotą do swoich i okropną obawą dręczony.

— Kraju mój drogi, ziemio moja rodzinna i wy wszyscy umiłowani moi, czyż mam was utracić, pożegnać! O! matko moja, biedna, nieszczęśliwa, kto ranę serca twego zagoi, kto cię w starości strzec będzie?

Rozpacznie ręce założył na głowę i podszedł do okienka, by choć nieba skrawek zobaczyć.

Wtem zgrzytnął klucz w zamku, we drzwiach otwartych stanął stróż więzienny, wzywając go, by szedł za nim. Znał on te wezwania i drogę do kancelarii więziennej codzień prawie odbywał, ale dziś serce gwałtowniej mu uderzyło.

— No, Stefan Iwanowicz, czyście się namyślili? zagadnął go na wstępie jeden z zebranej tam starszyny. Wybierajcie, albo pójść za radą naczelstwa i wrócić szczęśliwie, albo... jutro już was w kraju nie będzie, już nigdy swoich nie zobaczycie. Ot, tam za ścianą czeka na was narzeczona, od kilku tygodni podobno już się stara, aby was zobaczyć, czy chcecie ją nadal zasnucać? A krasawica jakich mało.

— Nie mam narzeczonej, a gdybym ją miał, to katoliczkę, jak i ja jestem katolikiem, a katolikiem, który za nic w świecie nie splami się taką podłością, by miał się zaprzeczyć wiary.

Dalsza mowa do niczego nie doprowadziła, oświadczone mu tedy:

— No, możecie się widzieć z narzeczoną i tym waszym przyjacielem, co z nią razem przychodzi, ale

wiedziecie, że to już ostatnie wasze widzenie, że ją na zawsze pożegnać musicie. Wasza matka i wasze sieroty zginą tu, jak wy tam zginiecie, kiedyście się uparli przy swoim.

Krasnodębski zbladł, ale siłą woli opanował wzruszenie, by go swym katom nie pokazać. Chwiejnym krokiem wyszedł za żołnierzem, który go do jego celi wprowadził. Ledwie stanął u progu, okrzyk zdumienia wydobył się z jego piersi. Ujrzał Bileckiego, to nic, ale Krystyna tu? u niego? i to pod mianem narzeczonej? Zawahał się, jakby przestraszył, a ból dotkliwszy, niż ten przed chwilą szarpał mu piersi. Bilecki podszedł i chwycił go w ramiona.

— Nareszcie po tylu, tylu staraniach doczekaliśmy chwili widzenia się z tobą! Ach, cośmy wycierpieli oboje! Ale ty nic nie wiesz. Krystyna niech sama ci powie.

Krystyna ręce do niego wyciągnęła.

— Przyjacielu, bracie, czy chcesz bym kiedyś żoną twą została? czy nie cofasz tego, coś mi przed miesiącem powiedział?

— Pani, co to ma znaczyć?

— To, że chylę przed tobą głowę jak przed męczennikiem, że kocham cię za twe szlachetne czyny i za stałość w wierze, od której odwieść cię chciano, że chcę ci osłodzić bóle cierpienia zapewnieniem, iż pragnę zostać twą żoną i dożgonną życia twego towarzyszką.

— Aniołem jesteś, ale nadaremna twa ofiara, ja jej ani przyjąć, ani z niej skorzystać nie mogę. Zakrył twarz rękami i głóśnem łkaniem wybuchnął. Bilecki prowadził go na tapczan, usadził, uściskał, czekając aż przejdzie ten wybuch rozpacz. Krystyna przyklękła przy nim i głowę wsparła na jego ramieniu.

— Biedny, biedny męczenniku, nie obawiaj się, choćby najdłużej przyszło mi czekać na ciebie, pozostanę ci wierną. I nie nazywaj tego ofiarą, co dla mnie szczęściem i chlubą życia się stanie. Matka twoja przyjęła mię za córkę, dzieci przyłgnęły, chcę im nieść pomoc i pociechę, zanim powrócisz.

— Nie wrócę do was, nie wrócę, oto przed chwilą wyrok mi przeczytano... mam się z wami pożegnać na... zawsze!

Krystyna krzyknęła na tę wieść straszną, ale w tej chwili się opamiętała.

— Nigdy, nigdy nie może między nami paść to straszne słowo — na zawsze. Twoją jestem, twoją pozostanę, choćby cię wywieźli, czekać będę i... wierzę, że się doczekam.

Ostatnie słowa wypowiedziała z taką siłą, taką wiarą, że i Krasnodębski w nie uwierzył. Osunął się przed nią na kolana i pocałunkami zaczął okrywać jej ręce, dziękując, wyznając swe uczucia.

— Wezmę twą matkę i dzieci twe w opiekę, nie rozłączę się już z niemi, otoczę miłością i staraniem, bądź spokojny o nich, gdy wrócisz, zastaniesz nas razem.

— Ach, moje dzieci, moja matka, ratujcie je, wywieźcie z tej okolicy, bo ich mogą zmuszać do prawosławia... nie dajcie!

— Zabezpieczymy, usuniemy im z oczu, zapewnił Bilecki.

Strażnik dał znać, że czas widzenia minął. Trzeba się było żegnać. Krystyna zdjęła z szyi medalik poświęcony, włożyła mu go na szyję. Potem oboje ukłękli przed stryjem, by ich pobłogosławił.

— Błogosławię was, dzieci drogie, oby Bóg dobry

pozwolił wam jak najprędzej się połączyć, a połączyć na życie całe.

Zdjął z palca pierścień rodzinny i podał go Krystynie.

— Daj mu ten pierścień jako znak zaręczynowy, niech go krzepi, niech wzmacnia w nadziei, że skończą się dni niedoli i na ślubny go pierścień zamieni.

Krasnodębski przytulił rękę, co mu klejnot podawała, zdjął z palca ślubną obrączkę i podał ją ze słowami:

— Niech ta najdroższa dla mnie pamiątka będzie zadatkiem mej miłości i strzeże cię dla mnie, ukochana moja.

Żołnierz naglił do wyjścia, raz jeszcze spotkały się ich wejrzenia, splotły w uścisku dłonie i Bilecki wyprowadził z celi Izami zalaną Krystynę. Widział tylko za sobą wyciągnięte ręce Stefana — i drzwi więzienia z trzaskiem się zamknęły.

IX.

Dwa lata upłynęło od wyżej opisanych wypadków. Dwa lata długie, znojne dla cierpiących i nieszczęśliwych.

Z kościoła Św. Krzyża w Warszawie wyszła Krystyna, kierując się w stronę Nowego Światu. Od jej ciemnego płaszczyka odbijała liljowo-biała cera jej twarzy, bez rumieńca, bez uśmiechu, jakąś tęskną zadumą owiana. Piękną była, tak piękną, że oczy przechodniów na się ścigała, ale zarazem uwydatniał się w niej taki majestat cichego cierpienia i powagi, że głowy się przed nią chyliły. Wbrew swemu zwyczajowi szła wolno, bo

dziś z powodu choroby uczennicy lekcja południowa przepadała. Wstąpiła więc do kościoła, by tam, jak zwykle, zaczerpnąć siły do walki i pracy, które tak wczesnie młode jej życie zbyt wielkim przygniotły ciężarem. Wzięła na siebie olbrzymie zadanie i spełniała je z podziwienia godną wytrwałością i miłosnem oddaniem.

Po ostatniem widzeniu z Krasnodębskim i po jego wywiezieniu, zamieszkała na stałe przy boku jego nieszczęśliwej, zrozpaczanej matki. Była jej córką oddaną, opiekunką, wyręczycielką, była jej pocieszycielką tem skuteczniejszą, że z nią razem łzy wylewała i boleść dzieliła. Gdybyż choć zostawiono ich w spokoju, ale gdzie tam! Nałożono kontrybucję, na którą poszedł cały prawie inwentarz, wreszcie skonfiskowano majątek, niewielką tylko jego częśćkę, jako rejentalnie zastrzeżoną własność matki, na jej utrzymanie zostawiając. Była obawa, że, zagarnąwszy mienie, wróg tem się jeszcze nie zadowolni, ale sięgnie po dusze nieszczęśliwych istot, jak to przewidywał Krasnodębski. Postanowiono tedy zejść mu z oczu i w wielkim mrowisku stolicy ukryć się i zatonać. Wynajęto skromne mieszkanko przy ul. Chmielnej i tam pani Krasnodębska z Krystyną, wnuczetami i starą służącą Katarzyną przeniosła się i zamieszkała. Bilecki objął zarząd nad jej mająteczkiem, co mu przychodziło tem łatwiej, że miał go o miedzę od swego pola. Dochód z tego majątku jak najsumienniej w postaci pieniędzy i wiejskich produktów oddawany, był podstawą utrzymania całej rodziny, ale na to utrzymanie nie wystarczał. Brak ten Krystyna pracą swą dopełniała, dając lekcje, przepisując papiery i t. p., aby tylko matce i dzieciom na niczem nie zbywało. I rzeczywiście, skromnie, ale miło i do-

statnio było w mieszkanku na Chmielnej, tembardziej, że stara Katarzyna skrzętną i oszczędną była gospodynią. Pani Krasnodębska oceniała przymioty swej przybranej córki, z dniem każdym coraz więcej do niej się przywiązywała, dzieci kochały tę „ciocię“ z nieba im daną. Katarzyna koło „kochanej panienki“, rzec można, na palcach chodziła, a praca, wypełniająca dnie całe, niemal dawała wewnętrznego zadowolenia. Mogłaby więc Krystyna czuć się szczęśliwą, gdyby nie ciągle w pamięci stojący obraz niedoli człowieka, którego teraz gorąco, owszem z dniem każdym coraz goręcej kochała. Stało się to, co nieraz dziwną w życiu ludzkim wydaje się zagadką: ten sam piorun co druzgotał szczęście Krasnodębskiego, zbudził dlań serce Krystyny, które potem wśród nowych wrażeń i okoliczności coraz potężniejszym wybuchowało uczuciem i do największego usposobiło ją poświęcenia.

Tęskniła więc, cierpiała, cicho wprawdzie i bez skargi, by serca matki nie rozraniać, ale wskutek tego jeszcze dotkliwiej. W pracy szukała zapomnienia, w modlitwie pociechy i pomocy. Od Stefana rzadko przychodziły listy, a takie były serdeczne, pełne tęsknoty, pełne miłości i uwielbienia dla niej, że je zawsze gorącemi łzami oblewała. Dziś właśnie po takim liście pobiegła do kościoła, by u stóp ołtarza wylać swą boleść i łzami ulżyć sercu stęsknionemu. Jak zwykle, tak i dziś wyszła stamtąd spokojniejsza, silniejsza i bardziej z losem pogodzona. Koło niej przesuwali się ludzie w tę i w tę stronę, niejednen potracił w pośpiechu, ale ona zda się nic nie widziała, w obraz w duszy odtworzony zapatrzona.

Nagle hałas jakiś, okrzyk przerażenia i przestrogi zbudził ją z zadumy. Ludzie uciekali w popłochu...

wprost na nią po chodniku pędził koń rozhukany... Spojrzała i krzyknęła przełknięta. Obok stał chłopczyk lat około siedmiu mający, spokojny, nieświadomy niebezpieczeństwa. Jeden moment, a znajdzie się pod kopytami końskimi... Chwyliła go za rękę, przyciągnęła do siebie i z nim razem, cofnawszy się raptownie, upadła pod drzwi sklepowe. W tej chwili koń przeleciał, nie dotknawszy dziecka, na jej piersiach leżącego. Chłopczyk był uratowany. Westchnienie ulgi wydobyło się z piersi patrzących na to zajście, które nastąpiło i minęło tak błyskawicznie, że dopiero je spostrzegła zajęta oglądaniem wystawy sklepowej bona, opiekująca się chłopczykiem. Wydawszy okrzyk trwogi, rzuciła się do dziecka, ale Krystyna, prawie nieprzytomna trzymała je tak silnie, jakby jej na niem wiele zależało. Tymczasem grono ciekawych otoczyło ich kołem. Pomagano im wstać, widzów przybywało z każdą chwilą. Wtem zabrzączały ostrogi, silna ręka rozsunęła tłum zgromadzony.

— Co się tu stało? spytał po rusku jakiś poważny, siwiejący już generał.

W tej chwili spostrzegł chłopca z ziemi dźwigniętego i zbladł gwałtownie.

— Ty tutaj?... co to wszystko znaczy? zawołał, chwytając chłopca w swe objęcia. Był przerażony i zły, oczy krwią mu nabiegły. Powiódł wzrokiem dokoła, szukając tej, której opiekę nad dzieckiem powierzył.

— Tak to wy, panno Olgo, mojego dziecka pilnujecie? rzekł, mierząc bonę groźnym spojrzeniem.

Zalana łzami, zaczęła się tłumaczyć, ale nie szło jej to jakoś. Jeden z obecnych panów wyręczył ją w tem, opowiadając w kilku słowach o tem co zaszło.

— Gdyby nie przytomność umysłu i poświęcenie

tej młodej osoby, dodał, wskazując na Krystynę, dziecko napewno byłoby stratowane. Raptowne szarpnięcie życie mu uratowało, a że upadł na swoją wybawicielkę, nie odniósł najmniejszego szwanku.

— Za to panienka, co się dla niego poświęciła, została przez konia uderzona, dorzucił ktoś z boku.

— Z bólu i przestachu mdleje, zawołała jakaś kobieta, pomóżcie ludzie, bo na chodnik upadnie.

Jenerał zwrócił się do Krystyny, która rzeczywiście chwiała się, blada jak płótno z oczyma przymkniętymi.

— Ratować trzeba, posadzić trzeba, żeby odpoczęła.

— Ale gdzie? padło zapytanie.

— No, u mnie, ona życie memu dziecku uratowała. Zaprowadźcie ją panowie do mego mieszkania, tu w tym domu.

W chwilę potem Krystyna siedziała na malej kanapie w mieszkaniu pięknie umeblowanem, a pani jenerałowa z panną Olgą trzeźwiły ją i uspokajały. Wkrótce przyszła do siebie, okazało się jednak, że była silnie potłuczona i rękę miała zranioną. Jenerałowa przejęta wdzięcznością dla wybawicielki swego jedy-naka, sama ranę jej opatrzyła i chciała posłać po doktora. Krystynie przecież pilno było ten dom opuścić, podziękowała zatem, tłumacząc, że niema nic złego. Chciała powstać z kanapy, lecz przeszkodziła temu jenerałowa i, przysiadłszy koło niej, ujęła jej obie ręce.

— Duszeńko moja, rzekła z przymileniem, my cię tak puścić nie możemy. Uratowałaś od niechybnej śmierci nasze jedyne dziecko, chcemy ci wdzięczność okazać, chcemy ci podziękować. Powiedz, czembyśmy ci przyjsz z pomocą, czy przyjemność sprawić mogli. Jesteśmy bardzo bogaci i wiele możemy, więc się nie

kępaj, bądź ze mną szczerą, może ci czego braknie, może czego potrzeba?

Krystyna podniosła na nią wzrok taki smutny, taki łzawy, że jenerałowa bliżej się do niej przysunęła.

— No, widzisz, że zgadłam, tobie czegoś potrzeba, za czems tęsknisz, czy nie zechcesz mi powiedzieć?

— Pani, napróżno mówiłabym o tem co mi dolega, co przepelnia tęsknotą. Tego mi nie dadzą żadne pieniądze, ani nikt nie wróci, jedno tylko miłosierdzie Boże...

— A, duszeńko droga, miłosierdzie Boże przez ludzi przychodzi, trzeba tylko u nich pomocy szukać. Szkoda twej młodości i urody, żebyś się smutkiem truć miała, tobie się szczęście należy.

— Wydarto mi je i już nie wróci, biednam ja sierota na życie całe.

Łzy, których wstrzymać nie mogła, oblały jej twarz tak piękną z tym obrazem boleści, że jenerałowa z jakimś zachwytem w nią się wpatrzyła.

— Czy już nie żyje ten, komuś swą miłość oddała, albo kto zabrał twe szczęście? spytała przyciszonym głosem.

— Żyje, ale daleko... i już niema nadziei powrotu!...

— Aha! domyślam się! politycznie zawinił i został skazany... czy tak?

— Nie, pani, on nic nie zawinił, w niczem przeciwko władzy nie wystąpił, tylko kochał swoją wiarę, prześladowaną na ziemi podlaskiej i chełmskiej, tej wiary wyrzec się nie chciał — i za to, za to, że był szlachetny, prawy, dobry chrześcijanin, za to wywieźli go od matki, od drobnych dzieci i ode mnie, jego narzeczonej! I gdzie mi szukać sprawiedliwości, gdzie szu-

kać pomocy? wrogów tylko widzę dokoła i cierpię, a mego cierpienia nic nie uleczy.

Jenerałowa chwilę siedziała milcząca.

— Nie wszyscy są tak źli, jak sobie wyobrażasz, nie wszyscy pochwalają to, co się dzieje w Chełmszczyźnie.

Zbyttnia gorliwość niektórych urzędników psuje dobre stosunki między nami, a tego być nie powinno. Pewnie i ty, gdybyś wiedziała, że chłopczyk, co przypadkiem stanął przy tobie, jest synem rosyjskiego jenerała, nie śpieszyłabyś mu z ratunkiem, nie chciałabyś dla niego życia narażać.

Krystyna podniosła na nią wejrzenie pełne godności.

— I owszem, nie zawahałabym się ani chwili, ale pośpieszyłabym uchronić go od niebezpieczeństwa, w imię zasad mej wiary, wiary, którą nam z serca chcą wydrzeć.

Jenerałowa pochyliła głowę.

— Nie wiem, czy mogę ci dużo obiecywać, ale i ja w imię zasad chrześcijańskich chcę ci dopomóc, pomówię o tem z moim mężem, on wiele może, a nuż uda się co zrobić!

Niespostrzeżono, że jenerał, który się był oddalił, wrócił do pokoju i był świadkiem całej rozmowy. Słowa Krystyny i cała jej postać ujmująco piękna silnie na nim sprawiła wrażenie. Chciał naprawić zle jej o Rosjanach mniemanie, uważał, że dług wdzięczności przed chwilą zaciągnięty z całą hojnością spłacić powinien. Podszedł do niej tedy ze słowami:

— No, piękna dziewczeczko, nie będziesz dłużej płakała, masz moje jeneralskie słowo, że uczynię wszystko, żeby ci wrócić narzeczonego.

Błysk naglej radości rozjaśnił twarz Krystyny. W tej chwili do myśli jej wpadło przeświadczenie, że całe to zajście było zrzędzeniem Opatrzności. Upadła na kolana i obie ręce wyciągnęła do niego z niemem ale wymownem błaganem.

— Panie jenerale, szepnęła po chwili, uczyni według obietnicy, a życie całe wdzięczną ci pozostanę.

— No, tak, w ten sposób uregulujemy swoje rachunki, rzekł, podając jej rękę do powstania. Musi mi pani podać wszelkie szczegóły zaraz dziś, aby można było zacząć jak najprędzej.

— Boże, jakież cudowne są drogi Twoje! — modliła się w duchu Krystyna, przechodząc do gabinetu jenerała.

X

Cierpiąca, ale nadzieją podniecona wróciła Krystyna do domu. Katarzyna drzwi otwierając, powitała ją słowami:

— Co się stało, czy aby nie jakie nieszczęście, że tak długo panienki nie było?!

— Eh, nic się nie stało..., mała przygoda szczęśliwie zakończona — całą przyczyną opóźnienia. Jedliście obiad?

— Ale gdzież tam! nikt nie chciał jeść bez panienki. Pani się zaniepokoiła, a że od rana jakoś niedomaga, poszła się położyć.

Krystyna, zapominając o bólu, jaki jej zraniona ręka sprawiała, zrzuciła z siebie płaszczyk i kapelusz: pobiegła do pokoju przybranej matki. Cicho zatrzy-

mała się w progę, aby jej nie przebudzić, w tej chwili jednak staruszka poruszyła się radośnie.

— Krysiu droga, jesteś nareszcie, a tak się o ciebie obawiałam!...

Krystyna podeszła do łóżka i, przykląkwszy, pieśczośliwie do niej się przytuliła.

— I czegoż ta ciągła obawa? Cóżby mi się mogło stać w dzień biały na ludnej ulicy? Po co mateńka tak się kłopotce — i obiadu dotąd nie jadła, jakże to można!...

— Jakoś niedobrze się czuję, do jedzenia więc chęci nie miałam, zresztą z niepokojem w duszy nie warto zasiadać do stołu, bo to nie wyjdzie na pożytek.

— No, więc zasiądziemy bez niepokoju, owszem z nadzieją, z błogą nadzieją najgorętszych naszych życzeń spełnienia.

Pani Krasnodębska usiadła na łóżku i pilnie w twarz się Krystyny wpatrzyła.

— Czyż to być może?! Czyżby padł jakiś promień jaśniejszy, budzący tę nadzieję?

— Tak wypada przypuszczać, jeżeli słowo poważnego człowieka niema być pustem echem bez znaczenia.

— Więc coś jest, więc ty coś wiesz! mów, mów, moja droga, bo drzę z niecierpliwości.

— Posłuchaj więc, mamó, spokojnie, jaką dziś miałam przygodę i osądź, czy nadzieja mię nie łudzi.

Opowiedziała zajście na ulicy i przebieg rozmowy w domu generała. Pani Krasnodębska słuchała bez poruszenia, wkońcu szepnęła:

— Trudno nie ufać, Bóg wszystkim rządzi i dobrodziejstwa swoje dziwnymi nieraz zsyła drogami.

Podniecona, uśmiechnięta podniosła się z łóżka i, przytuliwszy Krystynę do piersi, rzekła serdecznie.

— Bóg mi cię dał na pociechę w smutnej doli, przez ciebie widać i dzieła pocieszenia dokona. Pomódlmy się razem, Bogu tę sprawę polecając i dziękując za pocieszenie, jakie nam dał w dniu dzisiejszym.

— Dobrze, mamó, tylko i dzieci sprowadzę.

W chwilę potem cała rodzina klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, powtarzając za panią Krasnodębską słowa modlitwy dziękczynnej oraz gorącego błagania o powrót ukochanego człowieka. Z ust starszych płynęły słowa:

— Wróć go nam, Panie, pociesz nas, Panie!

Dzieci znów, wyciągając rączęta, prosiły:

— Dzieciatko Boże, przyprowadź nam tatusia.

Nikt nie słyszał jak drzwi się cicho otworzyły i w progu stanął Bilecki. Popatrzył na modlącą się gromadkę i rozrzuwniony przykląkł również, by się duchem z niemi połączyć.

Powstano w tej chwili i okrzykami radości zaczęto gościa miłego witać. Dla dzieci największa była to uciecha, bo „dobry dziadunio“ różne rzeczy ze wsi przywoził, a takie smaczne, takie przez nich pożądane. To też gdy go obkoczyły i teraz, ucałowawszy je, wyprawił je do kuchni.

— Idźcie do Katarzyny, zobaczycie co wam przewiozłem. Jajka i jabłka... i żywe kurczątka.

— Żywe kurczątka! wykrzyknęły obie i już ich nie było w pokoju.

— Wyprawiłem dzieci, bo chcę się dowiedzieć, czy nie macie jakiej wieści od naszego wygnańca, gdyż słowa waszej modlitwy każą mi przypuszczać, że jakąś powzięłyście nadzieję.

— O, tak, stryjasku, może się ona złudną okaże, ale w tej chwili ożywia nas i pociesza.

— Tak, odrzekł Bilecki, wysłuchawszy opowiadania, to do nadziei powód nie bylejaki. Jestem przekonany, że generał zechce coś zrobić, przez samo poczucie honoru, a gdy zechce, gdy naprawdę czuje obowiązek wywdzięczenia się za obronę syna, — to zrobi napewno, a przynajmniej dołą jego złagodzi, bo u Moskali wysokie figury ogromne mają wpływy i poważanie.

— Więc się, stryjaszku, cieszysz razem z nami?

— Tak — i cieszyć się będę tem więcej, że to ty przyniesiesz mu wybawienie.

— Bóg najslabszych używa nieraz na narzędzie swej Opatrzności, oby i tutaj tak było dla szczęścia naszego, odrzekła skromnie Krystyna.

— No, Krysiu, ale nasz gość głodny, zmęczony z podróży, trzeba pomyśleć o obiedzie.

— Żaraz go podamy, o, jakże on nam dzisiaj będzie smakował!

I skoczyła do kuchni, a w chwilę potem, nucąc półgłosem, nakrywała do stołu, zwinna jak wiewiórka, choć jej potłuczenie i zraniona ręka dotkliwie odczuć się dawały. Ale nadzieja unosi i skrzydła przypina, duch leci do przedmiotu ukochania, to i na cierpienia ciała nie zważa.

A z drugiego pokoju patrzyły na nią oczy dwojga ludzi, co ją jak córkę kochali, a z serc ich i ust wyrывało się westchnienie:

— Oby się jej marzenia spełniły!

XI.

W mieszkanku na Chmielnej cicho, na pozór bez zmiany płynęły dni i tygodnie, serca tam jednak żywszą były nadzieją. Oczekiwano z upragnieniem spełnienia

danej przez generała obietnicy i oczekiwanie to nie było bezpodstawnem. Generał poczynił starania i o pomyślnym ich wyniku zawiadomił Krystynę, ale od Krasnodębskiego list nie nadchodził. O jego powrót codzień się modlono, codzień wieści wyglądano, lecz tej jak nie było, tak nie było.

Jednego dnia wreszcie, jakoś w połowie grudnia, zjawił się list upragniony, w którym z najwyższą radością biedny wygnaniec o swem uwolnieniu donosił.

— Dziś zaraz wyjeżdżam, pisał, bo czyż mógłbym bawić tu dłużej choćby jedną godzinę bez przymusu czy koniecznej potrzeby? Serce moje już przy was, już mię wyprzedziło, ale i ja cały wnet za niem podążę. Najdroższe, ukochane, zaledwie śmiem wierzyć swemu szczęściu, że ja was wkrótce zobaczę. Śpieszę wyjść z tej niepewności, by sobie móc powiedzieć: otom nareszcie znowu na rodzinnej ziemi, otom nareszcie od swych najbliższych niedaleko...

Czekał więc, pragnął, śpieszył, a czemu dni płyną a jego niema? Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, ta uroczystość najbardziej rodzinna, gdyby i na nią nie przybył — to już byłoby złym znakiem. Zawitał wreszcie dzień wigilijny, poczyniono nań większe niż w roku ubiegłym przygotowania, smutne jednak były twarze, a serca stroskane i dzieci daremnie już tyle razy pytały:

— Kiedyż tatuś do nas przyjedzie?

Po dniu chmurnym mrok wcześniej zapadł, tu i owdzie błyskały światła, u nich tylko ciemno było i cicho. Pani Krasnodębska siedziała przy oknie, zapatrzona w niebo, w myślach tęsknych czy w modlitwie zatopiona. Krystyna, wróciwszy z kuchni, gdzie w czemś Ka-

tarzynie pomagała, wzięwszy kapelusz na głowę, ozwała się do staruszki:

— Wyjdę jeszcze na miasto, przejść się trochę, a może wstąpię do kościoła, ale nie na długo, bo wiesz, że już prawie gotowa.

— A czekać nie mamy na kogo, westchnęła biedna matka i spuściła głowę, by ukryć łzy, do oczu napływające. Nie baw jednak długo, moja droga, bo tak dziś mi tęskno i smutno, że miejsca sobie znaleźć nie mogę.

— To może zostać, może nie odchodzić?

— Eh, nie; skoro masz chęć, to przejdź się, wiem, że i tobie ulgi i pociechy trzeba. Proszę cię tylko nie baw długo.

Za chwilę Krystyna biegła ulicą, a biegła nie gdzieindziej jak do kościoła, bo gdzież jak nie tam szukać miała uspokojenia i męstwa w razie nowego ciosu? W ciszy wieczornej modlić się tak błogo, to też ani spostrzegła, że już godzinę była poza domem, a tam przecie na nią czekają. Wyszła pośpiesznie i z pewnym wyrzutem sumienia, ale jakoś dziwnie swobodna i pokrzepiona na duchu. Ulice opustoszały, ścichły, po domach za to gwarniej i ludniej było i tylko czekać, jak wesóło ozwie się kołęda i pod strop niebieski popłynie. Krystyna w sercu, w myśli swej słyszy tę kołędę radośną i radaby ją śpiewać wraz z innymi, śpiewać z samymi aniołami, tak jakoś dziwnie jej uroczyście i błogo.

— Wybacz, Katarzyno, że się spóźniła. Za długo z wilją czekacie, ale...

— To nic, niech się panienska rozbiera, prędko, pręciuchno, a wszystko będzie dobrze.

Odpowiedziała na to uśmiechem, ale stara też się śmieje i jakiś filuterny wyraz ma w twarzy. Zrzuciła

salopkę i kapelusz, gdy wtem drzwi się od pokoju otwarły i stanął w nich Bilecki.

— Stryjaszku! drogi, kochany stryjaszku! skądże nam dziś ta niespodzianka?!

— Odkładam odpowiedź na później, bo wpięrw chciałbym się dowiedzieć, gdzie to panienka w chwilę tak uroczystą przebywa, gdy na nią w domu czekają? Ładna z ciebie gospodyni, ani słowa.

— Nie gniewaj się, stryjaszku, ale jakoś tęskno mi było, wybiegłam więc odświeżyć myśli i nowego w pier-si nabrać powietrza.

— Upatrywałeś gwiazdki spodziewanego w nowym roku szczęścia, a może prędzej w domubysz ją znalazła.

— Nie wiedziałam, stryjaszku, że cię tu zastanę, ty nam zawsze przynosisz orzeźwienie.

— A dziś i pociechę istotną; chodźno, zobacz, co ci na gwiazdkę przywiozłem.

Z radosnem zaciekawieniem w oczy mu spojrzała, ale nie zdążyła się jeszcze poruszyć, gdy z poza niego wysunął się wysoki mężczyzna i upadł przed nią na kolana.

Spojrzała i krzyknęła zdumiona. Był to Krasno-dębski, zmieniony znacznie, blady i mizerny, ale ten sam, którego przed dwoma laty w mrocznym więzieniu żegnała. Tak, to był on, jej narzeczony, jej ideał bo-haterskiego obrońcy wiary, pocieszyciela ludu gnębio-nego, on męczennik, tułacz na obcej ziemi, — dziś tu pod dachem rodzinnym, wśród swoich, taki kochany i tak gorąco upragniony. W jednej chwili objęła myślą ogrom szczęścia, jaki ich spotykał i dni lepszych, któ-rych był zwiastunem.

— O! gwiazdo ty moja, najmiłsza, upragniona,

o aniele opiekuńczy mego rodzinnego ogniska, jakże mam cię powitać, jak ci za wszystko podziękować!

— Panie Stefanie, powitaj mię jak swoją narzeczoną i przyszłą towarzyszkę życia.

Podawała mu obie ręce, które on do ust przycisnął.

— O, jakżem szczęśliwy, jak bardzo szczęśliwy, kiedy z ust twych takie słyszę słowa. Więc ty, królowo czarowna, moją będziesz, moją na zawsze!

— Tak, Stefanie; słowa danego nie cofnę i dumną jestem że mam być żoną męczennika, mam się starać, by przy mym boku o cierpieniach przebytych zapomniał.

— Już zapomniałem, już mi się wszystko małem wydaje, wobec nagrody, jaka mię w dniu tym spotyka.

— Wstań pan, mnieby przed tobą klęknąć należało, miejsce twe odtąd przy sercu, które ci się oddaje.

Objął ją w pół i serdeczny uścisk złączył ich dłonie.

— Chodźcież do matki, która was oczekuje, ozwał się wreszcie Bilecki. Ale matka w tej chwili przy nim stała. Patrzyła ona z drugiego pokoju na powitanie młodych, a teraz, wybrawszy moment stosowny, podeszła bliżej, by udział wziąć w ich radości. Stała przy Bileckim, jako przy ojcu przybranym Krystyny i, wyciągając ręce, przywołała ich do siebie:

— Moje dzieci, moje drogie dzieci!

Uklękli przed nią oboje, a ona, płacząc z radości, błogosławiła ich i ścisłała, co po niej i Bilecki uczynił. Przybiegły do nich obie dziewczynki, podeszła i stara Katarzyna — i weselili się wszyscy, nie mogąc się swem szczęściem nacieszyć. Ale nadmiar radości osłabił siły staruszki, że musiano ją w fotelu usadzić i wody podać dla orzeźwienia. Teraz zauważono dopiero, że i Kra-

snodębski osłabł, blady był i chwiał się na nogach. Krystyna z niepokojem spojrzała na stryja.

— Nie kłopot się, mała, odparł, zrozumiałwszy to spojrzenie Bilecki. On po chorobie, nie dziw zatem, że zbytek wzruszenia tak na niego podziałał. Trzeba mu dać chwilę spokoju i wypoczynku, a przyjdzie do siebie. Przecież on u mnie kilka dni leżał i chciałem, aby z nami święta spędził, ale gdzie mu tam było o tem gadać! Rwał się całą duszą, udawał zdrowego, byle jechać prędzej, by na dzień wigilijny być tu koniecznie. Musiałem ustąpić, ale żem się obawiał puścić go samego, musiałem się wyrzec wigilji w rodzinnem kole i towarzyszyć mu do was.

— Jakiś ty dobry, stryjaszku, ale czemuś nam o tem nie napisał?

— Po co was było martwić i budzić niepokój, gdy miałem nadzieję, że to przejdzie, zaziębił się w drodze ot i wszystko.

— Namów go, stryjaszku, żeby się choć na kanapce położył, a ja tymczasem do stołu nakryję, bo czas wielki zasiąść do wieczerzy.

— Pewnie, że czas, wszyscyśmy głodni porządnie, więc się zakrzătnij, gosposiu, abym się za ciebie przed narzeczonym wstydzic nie potrzebował.

Rozśmiała się, ale zamiast śpieszyć do kuchni, poszła do Krasnodębskiego, który rozmawiał z matką, o fotel jej oparty.

— Musi pan odpocząć choć chwilę, ot, tu na kanapce i nabrać sił do wieczerzy, rzekła, biorąc go pod rękę i kierując w stronę wskazaną.

— Idź, Stefanie, posłuchaj dobrej rady, poparła żądanie matka.

— Będę posłuszny mojej pani i z najżywszą radością, oddaję się jej w niewolę.

— A nie śpieszcie z tem oświadczeniem, rozśmiał się Bilecki, bo to ci na złe wyjść może.

— Jakoś się tego nie lękam, zresztą ta, której oswobodzenie swe zawdzięczam, ma nademną prawa.

Przycisnął do ust drobną rączkę, co mu pod głowę poduszkę podsuwała i przymknął oczy z wyrazem największej błogości. Przymknął oczy nie aby zasnąć, lecz aby zebrać myśli i Panu Bogu podziękować za wszystko, czego dziś doświadczył. I nietylko dziś. Wspomniął rozpaczne dni w więzieniu spędzone, boleści wygnania, pożerającą tęsknotę za krajem, za rodziną, za wolnością. Ach, wolność, czem ona jest, rozumie to ten tylko, kto ją utracił. Wspomniął osamotnienie i chłód i głód i przeróżne przykrości, jakich doznawał na wygnaniu — i zestawiał to, porównał z chwilą obecną, aby uwypuklić sobie szczęście, spokój, pieśzczoły, jakich już tyle otrzymał, a tyle się jeszcze spodziewał. W obrazach snujących się jeden za drugim widział to wszystko oddalające się, niby upiory straszliwe, ustępujące miejsca obrazom pięknym, świetlanym, któremi się teraz rozkoszował. O, jak to w życiu szybko wszystko przemija i jak błogie wspomnienie po przebytych cierpieniach zostaje! Z najszlachetniejszych pobudek naraził się na cierpienie, a ono mu zjednało serce tej, która, zdawało się, straconą była dla niego nazawsze, teraz zaś samą się mu oddaje. O! jaki Bóg dobry! jak potężną dźwignią jest wiara, jak wielka za cierpienie przebyte nagroda!

Marzył, odpoczywał, cieszył się aż cienki głosik dziecięcy wyrwał go z zadumy. To Janinkę przysłano, żeby zobaczyła czy tatuś się obudził. Przygarnął dziec-

ko do piersi, ucałował, poczem oboje udali się do jadalnego pokoju, gdzie już wszyscy na niego czekali. Jak radosną była ta wilja, ile życzeń spadło przy opłatku, ile marzeń i planów na przyszłość omówiono, tego opisać nie podobna. Siedzieli z Krystyną obok siebie, jak ongi przy pierwszym spotkaniu i znowu jak wtedy opowiadał jej o cierpieniach wywiezionych z kraju unitów, o ich cichem, kornem, z poddaniem się woli Bożej przyjmowaniu śmierci, która nie jednego tam spotkała.

— To za świętą naszą wiarę, panoczku, mówili, to na pohybel wrogów umieramy, i umierali spokojni i ufni, że ich za to nagroda nie minie.

Wieczór ten i dwa dni następne, to dla dwojga młodych były chwile niezapomniane, najszcześniejsze w życiu. Minęły szybko, a zostały niespodziewanie zerwane. Bilecki oświadczył, że Krystynę z sobą zabiera na te kilka tygodni, dzielące ich od dnia ślubu. Matka i dzieci mają teraz opiekuna, więc może spokojnie od nich odjechać, a o swej wyprawie pomyśleć. Uznając słuszność tego żądania, nikt mu się nie śmiał sprzeciwiać i, choć z żalem, zgodzono się na trzytygodniową rozłąkę.

Trzeciego dnia świąt, wczesnym rankiem, Krystyna w towarzystwie stryja, opuściła Warszawę, aby przed wieczorem stanąć w gnieździe rodzinnem, gdzie ją niecierpliwie wyglądano. Tu zaraz na wstępie spotkało ją przypomnienie strasznej doli niewinnie dręczonego narodu. Dwuletnie dziecko chodziło po pokoju jadalnym, mizerne, zabiedzone, ale takie ładne i miłe. Na zapytanie, co to za dziecko, usłyszała smutną opowieść o okrutnem zbiciu nahajkami matki tego dziecka za to, że wraz z innymi kobietami broniła wstępu do cerkwi przysłanemu popowi prawosławnemu.

— Nieszczęśliwa kobieta nie przeżyła karni, kończyła opowiadanie pani Bilecka. Trzeciego dnia przyszła śmierć i do lepszego przeniosła ją życia. Ale po niej pozostało to maleństwo, samo jedno w chacie bez opieki i pod grozą, że je strażnicy pochwyca i na prawosławną wychowają. Przyniesiono je tutaj z prośbą o ratunek i przyjąłam tymczasem, dopóki coś się dla niej nie znajdzie.

— Ja ją zabiorę — to będzie moje wiano, powiedziała z zapalem Krystyna. Wprawdzie Stefan nie ma jeszcze posady, ni sposobu zarobkowania, jednak wiem, że rad ją przyjmie. Będzie to nasze odwdzięczenie Panu Bogu za jego powrót z niewoli.

Zatrzymano więc małą Kasię, jako własność Krystyny, dla której stała się tem cenniejszą, że, jak się pokazało, była jednym z owych dwojga dzieci, które ona z Krasnodębskim w starym młynie do chrztu trzymała.

* * *

Z kościoła św. Krzyża w Warszawie wyszła gromadka z kilku osób złożona, w jakimś poważnym, lecz radosnym nastroju. Twarze spokojne, ale uśmiechnięte, każą się domyślać, że coś według życzenia wszystkich się dokonało. I tak było w istocie. Przed chwilą bowiem tu w kaplicy Matki Boskiej Stefan i Krystyna ślubowali sobie miłość dożgonną i teraz w gronie najbliższej rodziny wracają do domu, by podjąć czekające na nich obowiązki i nowe życie rozpocząć. Do tego życia uśmiechają się oboje, promieni się im ono błogą nadzieją, bo wszak po burzy zwykle piękna następuje pogoda, po cierpieniach wesele przychodzi. Na to życie błogosławiła im matka i stryjostwo, a stara Kata-

rzyna tak się codzień gorąco modliła, więc z wiarą w nie wstępują i z przekonaniem, że choć ono bywa trudne i ciężkie, potrafią na jego niwie kwiat szczęścia prawdziwego zaszczyć i wyhodować.

— Najmilsza moja, mówił Krasnodębski, ciernistym szlakiem do tej chwili szczęśliwej doszliśmy, z dumą więc i radością możemy patrzeć w przyszłość i zdobywać to, co nam ta przyszłość dać może. Na twardej roli, wśród ostrych podmuchów wyrósł kwiat naszej miłości, hartowny więc on i niema obawy, żeby go byle przeciwność nadwyreżyć mogła.

— O, tak, mój kochany biedaku, należy ci się słuszną nagroda za zniesione prześladowanie, a za bolesną ze swymi najbliższymi rozłąkę — przy sercu kochającym spokojny spoczynek i wytchnienie.

— Obojgu nam się to należy i tyś przecierpiała niemało i trudów niemało podjęłaś. Obowiązkiem teraz moim stworzyć ci życie miłe i łatwe. Bóg mi dopomógł znaleźć pracę, odpowiadającą twoim i moim upodobaniom. Hrabia powierza mi z pełnym zaufaniem majątek swój do administracji, a ja tego zaufania nie zawiodę. Będziemy więc na wsi, niedaleko Warszawy, w pięknej miejscowości i w dobrych warunkach. Wszyscy z pewnością odetchniemy.

— Szkoda tylko, że tak daleko od naszych kochanych unitów.

— Trudno; tam wracać, by wrogom leżać w oczy, nie mogłem. Wychowując małą Kasię na dobrą katoliczkę, będziesz miała pociechę, że choć jedną duszę im wyrwałaś. Zresztą mam to przeświadczenie, że Bóg ich prześladowaniu kres położy. Runęła Rzymian okrutnych potęga, runie i carów tron okrwawiony, a święta

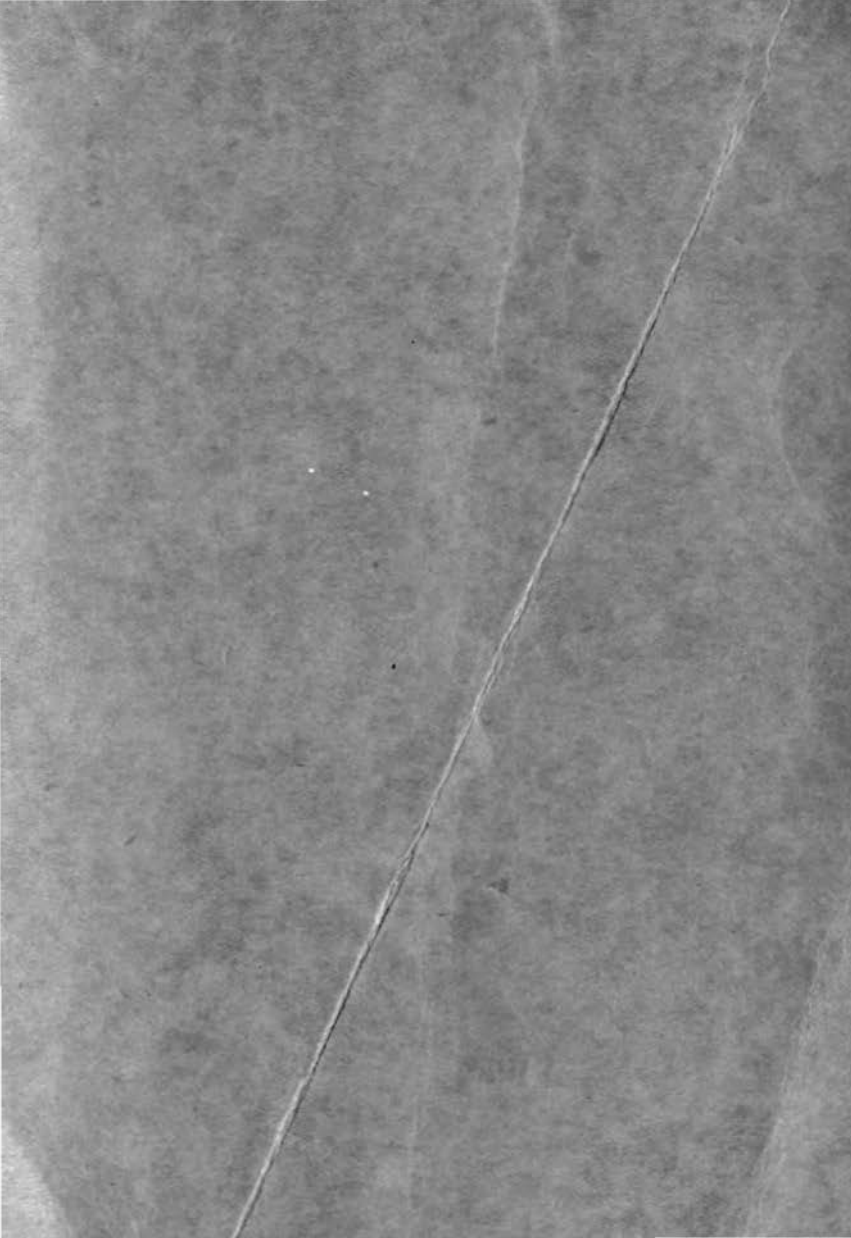
wiara katolicka wyjdzie z prześladowania jeszcze silniejsza i bardziej ukochana, by bujniej i piękniej na ziemi podlaskiej rozkwitnąć.

— Daj Boże, aby to były słowa prorocze i abyśmy patrzeć mogli na triumf wiary, jak na łyż i męczeństwo *patrzyliśmy*.

— Ufajmy! ciernistym szlakiem najpewniej się do szczęścia dochodzi.

KONIEC.





BIBLIOTEKA PFT I MWSD
we Wrocławiu

7315

I

BELETRYSTYKA